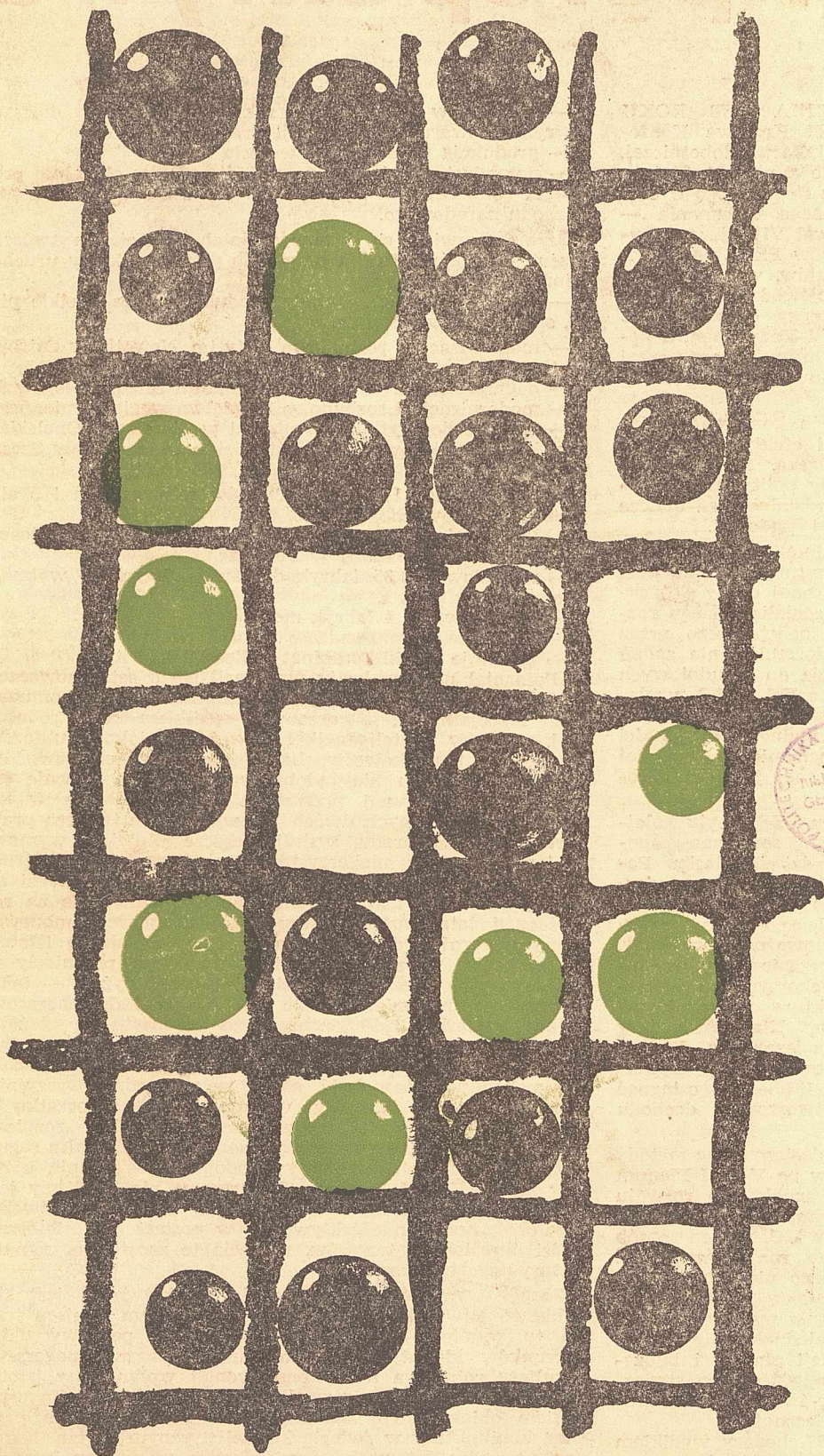


A 2897 II

ok. 15

Σ 3 - 86 -
1977/78



STREFA

MAGAZYN
PROBLEMOWO-
INFORMACYJNY
POLITECHNIKI
WROCŁAWSKIEJ

Ocena i perspektywa

W DNIACH 9 I 10 STYCZNIA 1978 ROKU obradowała w Warszawie II Krajowa Konferencja Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zwołana ona została zgodnie z pkt 31 Statutu PZPR i uchwałami Komitetu Centralnego w celu określenia warunków i zadań dla pełnego wykonania — w okresie do następnego zjazdu — uchwał VII Zjazdu Partii. Ponad 2,7 mln członków i kandydatów PZPR reprezentowało na konferencji około 2200 delegatów, wybranych na plenarnych posiedzeniach komitetów wojewódzkich. W obradach uczestniczyli członkowie i zastępcy członków KC partii oraz członkowie Centralnej Komisji Rewizyjnej, a ponadto reprezentanci stronnictw politycznych, zaproszeni działacze reprezentujący związki zawodowe, ruch młodzieżowy, środowisko nauki i kultury.

Tak szeroka reprezentacja sprawiła, że konferencja stała się czymś więcej niż tylko wielką i efektywną, podejmującą wiążące decyzje naradą gospodarską. Stała się ona bowiem wyrazem zbiorowej woli tej siły politycznej i społecznej, na której ciąży główna odpowiedzialność za oblicze kraju, za dzień dzisiejszy i jutro Polski Ludowej.

Przed krajem i partią stoi wiele skomplikowanych problemów. Tożę wspólnym zadaniem uczestników obrad było dokonanie rzeczowej, wnikliwej i krytycznej oceny dotychczasowego postępu realizacji programu socjalistycznego rozwoju Polski Rzeczypospolitej Ludowej uchwalonego przez VII Zjazd, a w oparciu o tę ocenę sformułowanie zadań na najbliższe trzy lata. Punktem wyjścia do dwudniowych obrad stał się referat Biura Politycznego KC PZPR wygłoszony przez I sekretarza KC tow. E. Gierka zatytułowany „O konsekwentną realizację programu podnoszenia jakości pracy i warunków życia, o dalsze umocnienie przewodniej roli partii i pogłębienie moralno-politycznej jedności narodu”.

Dwa lata, które minęły od VII Zjazdu PZPR były kolejnymi etapami urzeczywistniania strategii społeczno-gospodarczej nakreślonej u progu obecnego dziesięciolecia. Pomysłom wykonywane zadania ostatnich dwóch lat potwierdzają słusność ich wyboru. Nie były to jednak lata łatwe. W urzeczywistnianiu celów i zadań społeczno-gospodarczych państwo nasze napotkało bowiem na poważne przeszkody. „Spowodowane były one głównie pogorszeniem się warunków rozwoju produkcji rolniczej oraz niekorzystnym oddziaływaniem skutków recesji i dekoniunktury w państwach kapitalistycznych na wymianę handlową. Niewystarczający był również postęp w efektywności gospodarowania. W wyniku pogorszenia się wewnętrznych i zewnętrznych czynników rozwoju nie udało się w latach 1976—1977 osiągnąć w pełni zamierzonego zwiększenia wytworzonego dochodu narodowego”.

Dażąc do przezwyciężenia trudności i dostosowując metody działania do zmieniających się warunków na V i VI Plenum KC PZPR dokonano oceny nowych uwarunkowań rozwoju kraju i określono program przezwyciężenia trudności, potwierdzony na IX posiedzeniu plenarnym KC. W ten sposób ustalone zasady manewru gospodarczego, mające zapewnić osiągnięcie podstawowych celów bieżącego pięcioletnia, były programem nielatwym, którego pełne efekty możliwe będą dopiero w dłuższym czasie. Wprowadzenie manewru w życie wymagało często poważnych i niejednokrotnie niepopularnych zmian zadań w toku realizacji planów i budżetów na lata 1976 i 1977. Jednakże już dziś można stwierdzić, że „dokonane zmiany były niepełne i nie zawsze dostateczne w stosunku do narastających konieczności”.

Dorobek ludzi pracy w latach 1976—77, będący wynikiem patriotycznej postawy i wspólnego działania Polaków, to pomysłom zrealizowane podstawowe zadania społeczno-gospodarcze i utrzymywanie wysokiej dynamiki rozwoju kraju. W latach 1976—1977:

- zapewniono zatrudnienie wszystkim młodym ludziom, którzy osiągnęli wiek produkcyjny (1,2 mln)
- stworzono ponad pół miliona nowych, dobrze wyposażonych stanowisk pracy
- udział spożycia w dochodzie narodowym zwiększył się z 65,4% do 67,2%
- dochody pieniężne ludności wzrosły o blisko 26%
- o ponad 36% zwiększyły się świadczenia społeczne
- do nowych mieszkań wprowadziło się ponad 550 tys. rodzin

— znacznie w porównaniu z rokiem 1975 wzrosły dostawy na rynek towarów z produkcji krajowej i importu

- produkcja przemysłowa wzrosła o 20%
- natomiast zmniejszeniu o 3,5% uległa globalna produkcja rolnictwa, co wpłynęło na obniżenie tempa wzrostu dochodu narodowego.

Szybko rozwijał się i nowoczesniał potencjał wytwórczy kraju. Wymienimy tu dla przykładu główne zakłady uruchomione w ostatnim czasie:

- Huta „Katowice”, podjęła produkcję nowe wielkie piece, stalownie i walcownie,
- modernizacja i rozbudowa Huty im. Nowotki w Ostrowcu Świętokrzyskim, Huty w Zawierciu,
- oddana została do eksploatacji Huta Miedzi Głogów II,
- modernizacja i rozbudowa górnictwa węgla kamiennego,
- oddanie do użytku cementowni w Strzelcach Opolskich, Górażdżach, Ożarowie oraz Huty Szkła Okiennego w Szczakowej,

— zbudowanie 11 dużych zakładów mleczarskich i 5 elewatorów zbożowych,

- uruchomienie produkcji bieli tytanowej w Policach, kaprolaktanu i malaminy w Puławach,
- wybudowanie 35 fabryk domów, dalszych 55 w budowie,

- wybudowanie 4 fabryk mebli,
- rozbudowa i modernizacja fabryki w Ursusie,
- powstaje wielki kombinat Police II itd., itp.

„Potencjał naszego kraju wzbogacił się o setki nowoczesnych obiektów produkcyjnych, komunikacyjnych, komunalnych i socjalnych”, stworzonych wysiłkiem klasy robotniczej, rolników i inteligencji, budowniczych i konstruktorów, inżynierów i naukowców, ludzi pracy różnych zawodów. „Bez tego wysiłku nie byłoby warunków do obecnie już uzyskanego postępu i przyszłego rozwoju. Dobre w sumie wyniki minionych dwóch lat, wypełnione twórczą pracą partii i całego narodu, zyskują jeszcze silniejszą wymowę w konfrontacji z niekorzystnymi okolicznościami i trudnościami, jakim przychodzi nam stawiać czoło”. Rodzi się więc pytanie: w jakim stopniu zadania planowane na rok bieżący i lata następne wypełniają dyspozycje manewru gospodarczego? Odpowiedź na to pytanie nabiera istotnej wagi choćby dlatego, że minione dwa lata przyniosły — obok dalszych bezspornych osiągnięć (vide wyżej) — także pewne rozczarowania, właśnie jeśli chodzi o dotychczasowe efekty manewru. „Przyczyny tego niedosytu są złożone. W pewnym stopniu wynika on nie tyle z niedostatku osiągnięć, co z nadmiernych oczekiwań, których w ciągu roku nie można było zaspokoić, nawet w najbardziej sprzyjających warunkach”. Nie ulega wątpliwości, że na początku lat siedemdziesiątych zostaliśmy wszyscy trochę jakby „rozpieszczeni”, różne bowiem prognozy i zapowiedzi niemal z reguły przynosiły odczuwalne efekty. Podobne oczekiwania ujawniły się po V i VI Plenum. Tymczasem „nie mogliśmy jednak całkowicie wyeliminować napięć, zwłaszcza wówczas, gdy obok przyczyn obiektywnych w postaci niedostatecznej ilości określonych towarów, napięcia te zaostrzają czynniki natury psychologicznej”.

Zespół czynników zewnętrznych, obiektywnych jest stosunkowo łatwy do określenia. Na pierwszym miejscu trzeba tu wymienić rzeczywiście wyjątkowo pechowy układ warunków klimatycznych, co bardzo znacznie pogorszyło rezultaty rolnictwa a w konsekwencji wpłynęło w istotny sposób na cały bilans gospodarki narodowej. Drugim czynnikiem obiektywnym był nadal niesprzyjający nam przebieg koniunktury w świecie kapitalistycznym — tzn. wzrost cen wyrobów gotowych, dominujących w naszym imporcie z Zachodu i spadek cen surowców, które nadal przeważają w naszym eksporcie na te rynki. Pociągnęło to za sobą konieczność ostrych restrykcji antyimportowych nieraz ze szkodą dla gospodarki.

Znacznie trudniej jest o precyzyjne wymienienie spłotu czynników subiektywnych. Mówił o nich E. Gierek na IX Plenum KC, stwierdzając: „W życiu gospodarczym kraju utrzymują się nadal niedostatki wynikające głównie z niezadowolającej efektywności i dyscypliny realizacji planu ze strony niektórych resortów, województw, organizacji gospodarczych i organów administracji. Zrozumienie potrzeb przegrupowania sił i środków w gospodarce nie jest dostatecznie ugruntowane wśród części kadr reprezentujących

nasz przemysł, sferę usług, ośrodki naukowo-badawcze. Stosunek do tej sprawy bywa niekiedy deklaracyjny, a wysiłki podejmowane dla przeprowadzania tych zmian zbyt powolne”.

W tym miejscu należy przypomnieć, iż jeśli w ogóle miała mieć sens cała długofalowa koncepcja rozwoju Polski, konieczne stało się podjęcie poważnego manewru, polegającego na określonej zmianie priorytetu. W istocie chodziło nie o jeden manewr, lecz o co najmniej pięć, układających się w logiczną całość działań, a mianowicie:

- konieczność pewnego zwolnienia ogólnego tempa rozwoju,
- ochłodzenia koniunktury inwestycyjnej,
- skuteczniejszego koordynowania rozwoju produkcji rynkowej z kształtowaniem się siły nabywczej ludności,
- rozwój i modernizacja rolnictwa oraz gospodarki żywnościowej,
- intensyfikacja budownictwa mieszkaniowego.

Obserwacja i uważna analiza danych o wynikach roku 1977 pozwala stwierdzić, iż manewr został zapoczątkowany choć „w zbyt dużym stopniu niejako wymuszony decyzjami administracyjnymi”.

Niewątpliwie zwolnienie ogólnego tempa rozwoju daje możliwość porządkowania gospodarki, usuwania powstałych dysproporcji. Przede wszystkim ustabilizowane zostały nakłady inwestycyjne, przez co w konsekwencji zmniejszyło się obciążenie dochodu narodowego inwestycjami i akumulacją. Obecnie, kiedy udział inwestycji w dochodzie narodowym „stopniowo zmniejszamy, chodzi o to, by sprawnie zakończyć rozpoczęte inwestycje i uzyskać z nich oczekiwane efekty produkcyjne”, konieczne jest jednak nadal skuteczne przeciwdziałanie wzrostowi kosztów inwestycji i zapewnienie skutecznej preferencji dla inwestycji modernizacyjnych.

Zaopatrzenie rynku wysunęło się w ostatnich latach na czoło społecznych problemów. I choć tylko w roku 1977 zwiększono ponad plan dostawy towarów przemysłowych o 13 mld zł, a żywnościowych o prawie 10 mld zł, „nie zaspokoilo jednak popytu w niektórych asortymentach”. W tegorocznym planie „przy wzroście o 6,6% dochodów pieniężnych ludności dostawy towarów na rynek wzrosną co najmniej o 10%”. Otwiera to szansę umocnienia równowagi rynkowej. „W roku 1978 nie rozumiemy jeszcze wszystkich problemów rynkowych, nie usuniemy wszystkich braków. Musimy jednak już w bieżącym roku osiągnąć poprawę zaopatrzenia w najczęściej nabywane, masowe asortymenty towarów, których produkcję można stosunkowo szybko zwiększyć”. Ogromne rezerwy poprawy zaopatrzenia rynku i rozwoju usług dla ludności kryją się w zdolnościach produkcyjnych rzemiosła i spółdzielczości pracy, a także w daleko niezadowolającej ciągle jeszcze pracy handlu i placówek usługowych.

„Kluczowa rola w poprawie zaopatrzenia ludności przypada programowi wyżywienia narodu. Rodzina polska, która utrzymuje się z pracy poza rolnictwem, wydaje przeciętnie na żywność 45% swoich dochodów. Jest to więc szczególnie ważna i czuła dziedzina nie tylko konsumpcji, lecz całej naszej sytuacji społeczno-gospodarczej. Na rozwój i modernizację rolnictwa, całej gospodarki żywnościowej, przeznaczamy obecnie ponad 1/5 ogólnej wielkości nakładów inwestycyjnych. W 1978 r. na inwestycje w rolnictwie skierujemy, licząc w cenach stałych, przeszło 3 razy więcej środków niż średnie zużycie w dekadzie 1961–1970 i o 46% więcej niż średnio w latach 1971–1975”. Do tego dodać należy znaczne nakłady na rekonstrukcję przemysłu ciągnikowego oraz rozbudowę zakładów produkujących maszyny, narzędzia i urządzenia dla rolnictwa, a także budowę wielu zakładów zapewniających rolnictwu wzrost dostaw pasz, nawozów mineralnych, środków ochronny roślin i materiałów budowlanych. „W wyniku rozwoju przemysłu spożywczego, rynkowe dostawy artykułów żywnościowych produkowanych przez ten przemysł wzrosną w roku bieżącym o 8,3%. Nie będziemy jednak w stanie osiągnąć bardziej odczuwalnej poprawy zaopatrzenia w mięso i przetwory mięsne. Spożycie powinno w 1978 roku wzrosnąć o 2,2% w porównaniu z 1977 r. Tylko na tyle pozwala przewidywane zwiększenie skupu żywca. W obecnym planie 5-letnim założono wzrost produkcji żywca o 600 tys. ton. W 1977 roku produkcja ta była jednak — w porównaniu z 1975 r. — o 250 tys. ton niższa. Wykonanie zadań 1980 r. wymaga zatem zwiększenia produkcji żywca o 850 tys. ton w ciągu trzech lat. Jest to zadanie bardzo trudne” (...). „Zwiększamy na ten cel dostawy zbóż i pasz. W latach 1977–1978 sprowadzamy z zagranicy łącznie ponad 15 mln ton zbóż i pasz za około 2 mld dolarów, co oznacza nie notowany dotąd wysiłek całej gospodarki na rzecz wyżywienia narodu i przezwyciężenia skutków nieurodzaju”.

„Problemem społecznym szczególnie wagi jest budownictwo mieszkaniowe (...). W latach 1976–80 należy zbudować łącznie z zadaniami dodatkowymi 1.575 tys. nowych miesz-

kań. Aktualny stan zaawansowania tego programu wskazuje na konieczność dalszego poważnego wzmocnienia wysiłków, aby wykonać planowe zadania (...). W 1977 r. zwiększyliśmy dodatkowo nakłady na budownictwo mieszkaniowe o prawie 10 mld złotych. Plan na rok bieżący powiększa te nakłady w stosunku do założeń planu 5-letniego o dalszych 14 mld zł. Zapewne w następnych latach obecnego pięcioletnia trzeba będzie również zwiększyć środki na potrzeby budownictwa mieszkaniowego”.

Spojrzenie na manewr w kontekście powyższych informacji upoważnia — wydaje się — do stwierdzenia, iż nie miał i nie ma on waloru doraźności, lecz jest długofalową modyfikacją strategii, dostosowującą konkretne zamierzenia i przedsięwzięcia do zmienionych warunków.

Referat Biura Politycznego KC wykraczał rzecz jasna poza grupy problemów powyżej omówionych (z konieczności skrótowo), zawartych w nim jest bowiem wiele innych zadań, które będą podejmowane i rozwiązywane w pracy partyjnej i państwowej w najbliższej i dalszej przyszłości. Spośród najważniejszych należy zasygnalizować:

- określanie w oparciu o dotychczasowe wyniki prac zespołu partyjno-rządowego I, podstaw polityki cen,
- potwierdzenie konsekwentnej kontynuacji stałego wzrostu i rozszerzenia zakresu świadczeń społecznych (w 1981 r. najniższa emerytura — 2.000 zł),
- zapoczątkowanie — w obecnym pięcioletniu — wprowadzania zasiłków opiekuńczych dla matek, korzystających z urlopu na wychowanie dziecka,
- działanie na rzecz dalszej poprawy opieki zdrowotnej,
- kontynuowanie procesu skracania czasu pracy w zależności od wzrostu wydajności i dyscypliny pracy,
- dostosowywanie do zmodyfikowanego systemu ekonomiczno-finansowego stylu i metod pracy organów centralnych,
- dalsze pogłębianie demokracji socjalistycznej, poprzez szersze jeszcze wykorzystanie konsultacji ze społeczeństwem, umacnianie instytucji samorządu i podnoszenie pracy rad narodowych na wyższy poziom a także znacznie lepsze wykorzystanie istniejących form kontroli partyjnej, kontroli ze strony rad narodowych, organizacji społecznych a także instytucji skarg i wniosków.

Jest to rejestr spraw nie nowych. Jak wiemy, niektóre z nich zgłoszone zostały z trybuny VII Zjazdu i stanowią istotne elementy długofalowego programu działania partii i władz państwowych.

Przypomnijmy, że na czele zadań gospodarczych, które wysunął VII Zjazd znalazła się poprawa efektywności gospodarowania. Przemawiają za tym wszystkie względy społeczne i gospodarcze. Także i na II Konferencji sprawa znalazła swój wyraz zarówno w wystąpieniu tow. E. Gierka jak i w dyskusji, w której zabrało głos 69 mówców, a dalszych 513 przekazało teksty swych wystąpień do protokołu Konferencji.

„Najistotniejsze znaczenie dla wzrostu efektywności gospodarowania ma obecnie pełne wykorzystanie potencjału wytwórczego oraz wysokich kwalifikacji pracowników, racjonalne inwestowanie, polepszanie kooperacji oraz oszczędne wykorzystanie paliw, energii, surowców i materiałów”. W tej mierze wielka rola przypada krajowemu potencjałowi naukowo-badawczemu. „Jest to potencjał o wielkich możliwościach szybkiego zwiększenia wkładu rodzimej myśli naukowo-technicznej w rozwiązywanie problemów wynikających z potrzeb rozwoju społeczno-gospodarczego. Dorobek nauki polskiej jest duży i cenny, zarówno w badaniach podstawowych jak i stosowanych”.

Na zakończenie wypada przypomnieć, iż II Konferencja PZPR przyjęła zatwierdzone przez X Plenum KC PZPR (obradujące w przerwie poprzedzającej jej część końcową) teksty trzech rezolucji:

- w sprawie dotychczasowych wyników i aktualnych zadań partii w realizacji uchwał VII Zjazdu PZPR,
- w sprawie wyników prac partyjno-rządowych zespołów problemowych, powołanych przez IV Plenum KC,
- w sprawie wyborów do rad narodowych stopnia podstawowego.

W przemówieniu końcowym tow. E. Gierek raz jeszcze podkreślił, iż na członkach partii spoczywa szczególna odpowiedzialność. „Naszym najwyższym prawem i przywilejem jest dawać przykład w pracy dla kraju. Przodować w wykonywaniu zadań produkcyjnych i w aktywności społecznej, w krzewieniu postępu i zwalczaniu nieprawości. Urzeczywistniać socjalistyczne zasady i normy postępowania w każdym miejscu i w każdej sytuacji. Uczynimy wspólnie wszystko, aby umacniać jedność Polaków w realizacji programu VII Zjazdu, programu rozwoju socjalistycznej Ojczyzny”.

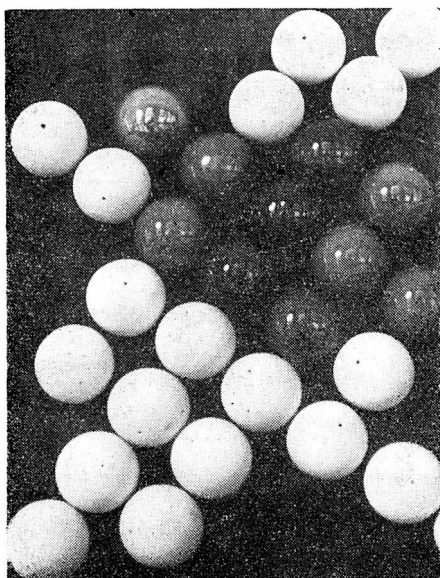
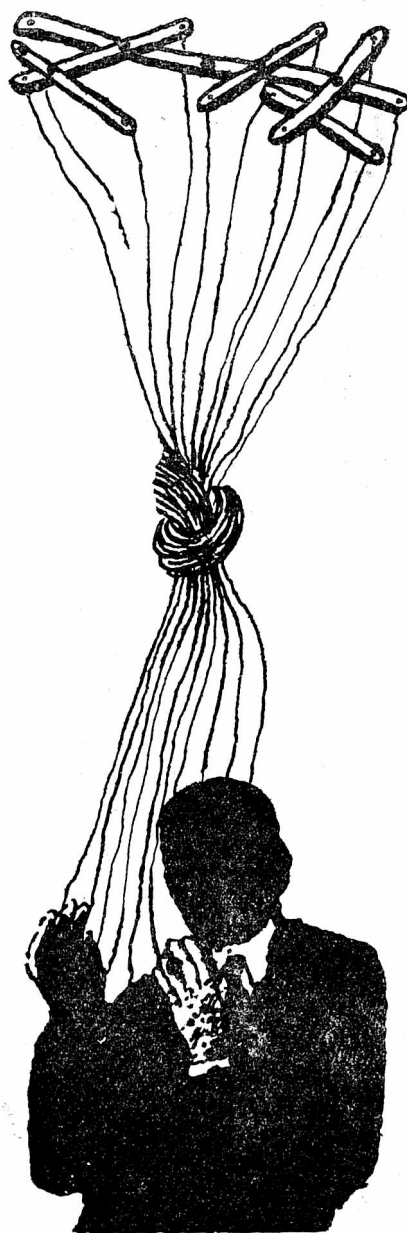
MACIEJ BOKUN

pozór

STERO

Wacław
Mejbaum

WA NIA



Fot. J. BACHRIJ

BYĆ MOŻE GŁÓWNY PROBLEM teorii niesterowalności leży w trudności sensownego wyróżnienia przedmiotu sterowania i sterującego podmiotu. Pozornie sprawa jest jasna. Weźmy ponownie pod uwagę wypadek superosła i jego trenera. Wydaje się niekwestionowane, że w danym wypadku superosiół jest przedmiotem, trener zaś — podmiotem sterowania. Superosiół — jak wiemy — reaguje gorliwie, choć zawsze opacznie, na kolejne poczynania trenera, trener według swego najlepszego rozeznania ustala program dalszych działań. W konkluzji zauważamy, że superosiół okazuje się układem niesterowalnym, trener natomiast naiwniakiem, który opętany wybujałą ambicją angażuje się w kosztowną i przydługą serię beznadziejnych poczynąń. Takie podsumowanie problemu jest, jak sędzę, całkowicie prawdziwe, aczkolwiek jednostronne i nieco trywialne. Rzeczywista głębia problemu ujawnia się dopiero wówczas, gdy spojrzeć nań nie z punktu widzenia trenera, lecz z punktu widzenia superosła.

Superosiół pozornie jest przedmiotem sterowania (jak wiemy już — nieskutecznego), w istocie jednak superosiół awansuje stopniowo do roli podmiotu, przedmiotem natomiast staje się trener. Jest to podstawowe twierdzenie **dialektycznej teorii niesterowalności**, którą zaczynamy tutaj szkicować. Twierdzenie to wyrazimy w postaci następującej reguły:

— im większa jest niesterowalność superosła, tym większa jest sterowalność trenera.

Twierdzenie nasze zilustrujemy przykładem (podawanym już w poprzednim odcinku) baby, która umyśliła sobie oduczyć chłopca picia alkoholu. Jak wiemy, w danym wypadku rolę społeczną superosła pełni chłop, rolę trenera — baba. Wyobraźmy sobie teraz, że chłop,

zapytany co nowego grają w kinach, wyraża ofiarną gotowość natychmiastowego udania się do kiosku celem zakupu lokalnej gazety, która — jak domniemywa — publikuje niekiedy programy kinowe. Baba, zorientowana znakomicie, że kiosk znajduje się opodal narażonej knajpy, odpowiada na opisana reakcję superosła całą serią głęboko przemyślanych czynności sterowniczych. Informuje, więc chłopca, że 1^o gazety zawsze kłamia 2^o jeżeli nie kłamie, to się myli 3^o jeżeli nawet się nie myli, to informują niekompletnie. Informują na przykład, że w kinie „Gigant” wyświetlany jest film pod tytułem „Omen”, nie informują natomiast, że wymieniony film jest w gruncie rzeczy chałą na mączce z sardynek. W wymienionych okolicznościach trener zakazuje superosłowi ekspedycji do kiosku, sam natomiast udaje się do sąsiadki, z którą spędza miłą godzinę na pogawędce o anatomii śledzi kanaryjskich. Chłop tymczasem wyjmując z cholewy wiadomą butelkę i osusza ją metodycznie i rozważnie.

Jest łatwo widoczne, że w przytoczonej wyżej historii superosiół okazuje się zupełnie niesterowalny. Trener natomiast w miarę dobrze poddaje się sterowaniu. W ciągu raczej krótkiego czasu chłop-alkoholik może skutecznie oduczyć babę zarówno chodzenia do kina jak i dyskutowania o wszelkiej faunie mórz i oceanów.

Czytelnik obznajomiony z pracami warszawskiej Szkoły Etyki zauważy bez trudu, że dialektyka trenera i superosła jest szczególnym wypadkiem procesu nazywanego w tych publikacjach „pracą wyalienowaną”. Z teorii alienacji dowiadujemy się mianowicie, że „praca wyalienowana” wyróżnia się tym, że 1^o produkt owej pracy uzyskuje władzę nad producentem 2^o producent głupieje w trakcie działania oraz 3^o zerwaniu ulega emocjonalna więź wiążąca początkowo producenta z innymi producentami. Wszystko to stosuje się bez zmian i zastrzeżeń do sytuacji trenera superosła. Faktem jest zarówno, że superosiół uzyskuje stopniowo kontrolę nad trenerem, jak i to, że trener stopniowo głupieje lub zgoła popada w szaleństwo, a wreszcie to, że dochodzi do atrofii stosunków intymnych między trenerami (zanik dyskusji o śledziach kanaryjskich).

Najistotniejszym w praktyce przykładem superosła może być dowolna instytucja, w roli trenera występuje w tym wypadku dyrektor. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że dyrektor nie jest w stanie narzucić instytucji realizacji jakiegokolwiek celowego programu, natomiast instytucja jest w stanie wmanewrować swego dyrektora w dowolny rodzaj choroby psychicznej. Bliższa analiza sygnalizowanego tu problemu prowadzi od dialektycznej teorii niesterowalności do nowej dziedziny badań objętej tzw. **ogólną teorią prowokacji**. Wiele można by w tej materii powiedzieć, jednak mając na względzie zdrowie moralne młodocianych czytelników „Sigmy” lepiej się będzie powstrzymać. Szczególnie zainteresowanych odsyłamy jak zwykle do specjalistycznych publikacji Warszawskiej Szkoły Etyki.

WACŁAW MEJBAUM

in nauka i przemysł

Lech Isakiewicz

W MARCU 1970 ROKU POLITECHNIKA podpisała umowę dotyczącą prac naukowo-badawczych i wdrożeniowych z Kombinatem Typowych Elementów Hydrauliki Siłowej „Delta-Hydral” we Wrocławiu. Mimo iż formalnie umowę podpisano w 1970 roku,

współpraca uczelni z Kombinatem trwa 10 lat. Pierwszy temat zakład zlecił Politechnice już w 1967 roku. Przebadanie głośności pracy pomp zębatych i wielotłokowych, to początek. Po wyeliminowaniu (wspólnie z uczelnią) w pracy pomp hałasu, pracownicy Kombinatu doszli do wniosku, że współ-

praca nie tylko może, ale powinna się opłacać. W 1969 roku zlecono wykonanie dwóch następnych tematów, które dotyczyły analizy układów hydraulicznych silnika GTD-350 oraz tłumika. Po skończeniu badań, władze Politechniki zaproponowały współpracę na formalnych warunkach. W roku 1971, czyli w rok po podpisaniu umowy, uczelnia rozpracowywała już cztery tematy dotyczące optymalizacji parametrów konstrukcyjnych oraz rozwiązania problemów technologicznych w rzeczonych układach hydraulicznych. Od tej pory kontakty między Politechniką, a Kombinatem stały się codziennością.

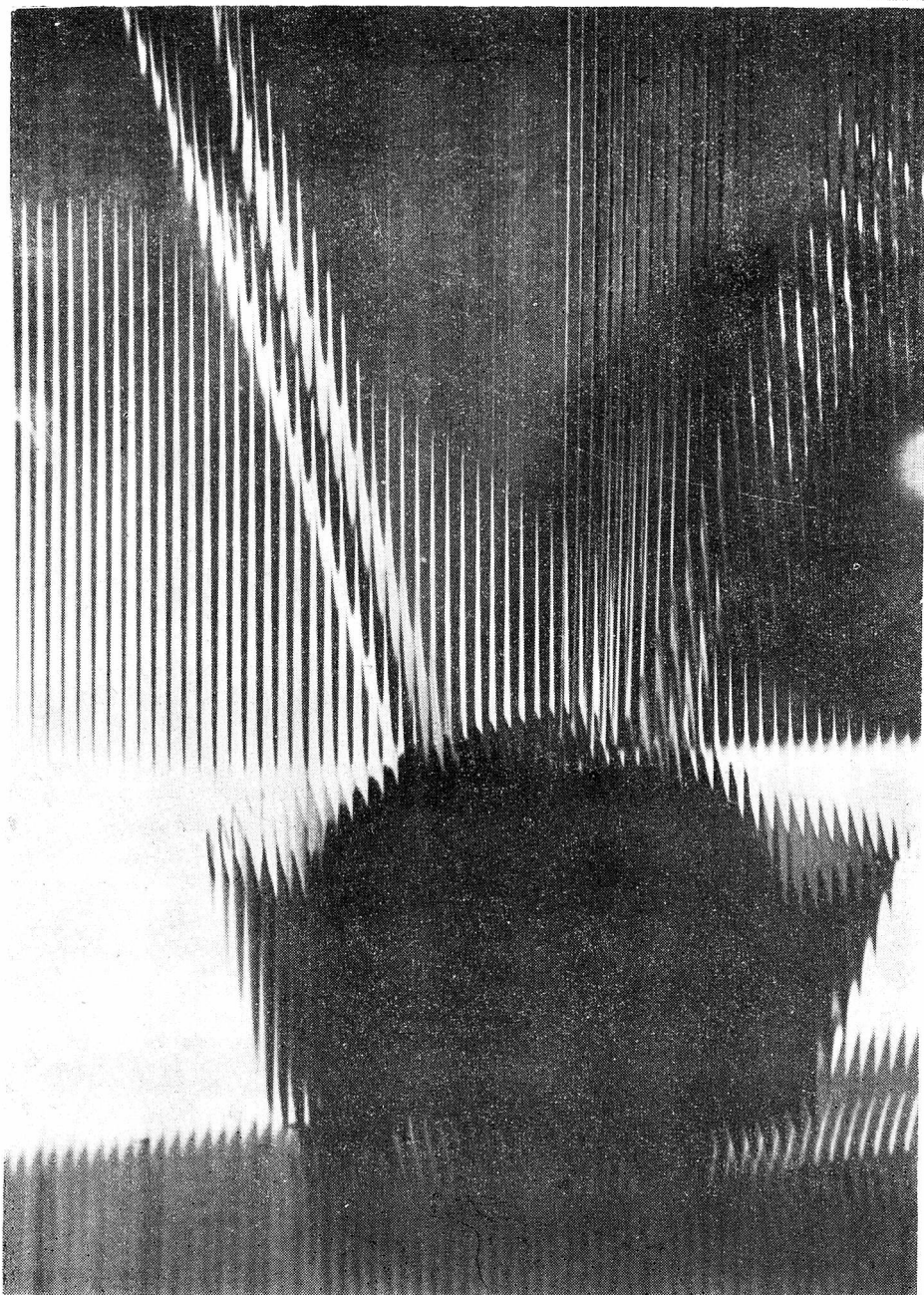
Przez 10 lat Kombinat zlecił uczelni do realizacji 18 tematów, z których przyjęto 14. Łączna kwota wszystkich wykonanych prac, według danych szacunkowych, wynosić miała 18.600 tys. złotych. Do dziś zrealizowano 10 tematów na kwotę 9.500 tys. złotych, a w trakcie realizacji są jeszcze cztery tematy rozpoczęte przez Instytut Konstrukcji i Eksploatacji Maszyn. Zakończenie badań przewiduje się na lata 1980—81.

Tyle dane. Dziesięć lat ukryte za suchą sprawozdawczością. Zlecono tyle, a tyle, zrealizowano tyle, a tyle. Prace opiewały na kwoty takie, a takie. A gdzie wysiłek ludzi? Gdzie inicjatywy? Gdzie sukcesy i niepowodzenia poszczególnych naukowców i pracowników zakładu? Nie sposób tego zrekonstruować. Zresztą czy warto? Jeszcze raz pokazywać zmagania inżyniera Kowalskiego, docenta Malinowskiego, czy konstruktora Nowakowskiego. Wyszukiwać błędy — bo i takie pewnie były, polować na anegdoty — w jakim poważnym działaniu ich nie ma? konstruować bardzo subiektywne życiorysy. Nie lepiej oprzeć się na faktach, liczbach, statystyce? Refleksje nie na miejscu — można by powiedzieć. Może, ale cóż poradzić skoro ogarniają dziennikarza obracającego się aż nazbyt często w statystyczno-sprawozdawczym gąszczu.

W ciągu pięciu lat (od 1971 — do 1975 roku) koszty prac naukowo-badawczych — rozwojowych, wdrożeniowych i usługowych, z roku na rok w Politechnice systematycznie rosły. Ogółem we wszystkich instytutach uczelni, podział kosztów w rozbiciu na poszczególne lata przedstawiał się następująco: W 1971 roku — 247.690,5 tys. zł; w 1972 roku — 326.956,1 tys. złotych; w 1973 roku — 278.315,4 tys. złotych; w 1974 roku — 373.456,6 tys. złotych; a w roku 1975 już 705.489,4 tys. zł. Umowy badawczo-wdrożeniowe podpisano w tym czasie z większością zakładów przemysłowych Dolnego Śląska oraz z wieloma zakładami przemysłowymi w Polsce. W samym tylko roku 1975 podpisano 36 umów.

Znów sucha statystyka, a i ona przecież nie oddaje wszystkiego. Miliony, miliardy, czy tysiące. Co za różnica? Na papierze to tylko mniejsza, lub większa ilość zer. Dla wyobraźni — nawet tej ścisłej — to abstrakcja. Efektów pracy naukowej przecież nie da się wymierzyć cyframi. Ani patentami, ani wdrożeniami nawet. Dla statystycznego spokoju odnotujmy jednak, że w 1976 roku nakłady na badania naukowe wyniosły 740 milionów, a w 1977 roku już 970 milionów. Z 247,5 milionów w roku 1971, do 970 milionów w bieżącym. Czy takie suche liczby nie potrafią rozbudzić nawet najbardziej opornej, nie podatnej na „magię cyfr”, wyobraźni?

Fot. J. BACHRLJ



Wróćmy jednak do współpracy Politechniki z Kombinatem Typowych Elementów Hydrauliki Siłowej, czyli z „Delta-Hydral”, gdyż tylko mała skala może uzmysłowić ogrom problemów.

W realizacji wszystkich dziesięciu tematów brały udział następujące instytucje Politechniki: Instytut Konstrukcji i Eksploatacji Maszyn — zrealizował cztery tematy, Instytut Techniki Ciepłej i Mechaniki Płynów — dwa tematy, Instytut Technologii Budowy Maszyn — dwa tematy, oraz dawny Instytut Maszyn i Urządzeń Hydraulicznych i Aparatury Przemysłowej — dwa tematy.

Truizmem byłoby wspomnianie, że współpraca uczelni z Kombinatem umożliwia prawidłowe realizowanie programów zarówno ze strony nauki, jak i przemysłu. Takim samym truizmem będzie twierdzenie, że współpraca ta daje również możliwości wykorzystania do badań w znacznie większym stopniu urządzeń badawczych i aparatury kontrolno-pomiarowej zarówno przez Kombinat, jak i przez Politechnikę. Podobnych truizmów naliczyć można więcej. Umożliwienie wykorzystania kadry technicznej uczelni przy opiniowaniu i ukierunkowaniu prac badawczych i konstrukcyjnych prowadzonych przez Kombinat. Tematy prac dyplomowych pisanych przez pracowników „PZL-Hydral” podejmowane są pod kątem potrzeb zakładu. W wielu wypadkach kontynuuje się te prace modernizując konstrukcje wykonane w trakcie prac dyplomowych.

Oprócz tych — najważniejszych chyba — korzyści wypływających ze współpracy, wyliczyć można cały szereg korzyści pomniejszych, choć nie mniej istotnych.

Wzajemna wymiana informacji naukowo-technicznej. Pomoc Kombinatowi dla uczelni w uzyskiwaniu nowoczesnego sprzętu dydaktycznego: modele wyrobów, wzorcowe zespoły i układy.

O roli i randze współpracy niech zaświadczy fakt, że poprzednio wykonywane przez Politechnikę prace badawcze i doświadczalne miały charakter wybitnie teoretyczny, obecnie zaś realizowane znajdują się na — nazwijmy to — wyższym poziomie usług.

Oprócz badań, zorganizowane zostały sympozja i konferencje, w których uczestniczyli zarówno przedstawiciele Kombinat, jak i uczelni. Konferencje naukowe odbyły się — między innymi — w Jodłowym Borze koło Kielc oraz w Politechnice i Karl Marx Stadt. Ta ostatnia odbyła się wspólnie w ramach posiedzenia RWPg.

Ostatnim wspólnym przedsięwzięciem zorganizowanym przez uczelnię i Kombinat było zorganizowanie wspólnego kursu programowania na maszynach analogowych dla kadry technicznej Politechniki i „PZL-Hydral”.

Przedstawione wyżej przedsięwzięcia nie wyczerpują całego skomplikowanego tematu jakim jest współpraca nauki z przemysłem. Realizacja umowy między Kombinatem „Delta-Hydral” a Politechniką Wrocławską jest tylko małym wycinkiem tej współpracy. Ideałem byłoby, aby każdy zakład przemysłowy działał w oparciu o działalność naukową, o naukowy potencjał jakiejś wyższej uczelni w kraju. Dobrze też by było, aby wszystkie uczelnie mogły pracować mając do dyspozycji zaplecze w postaci sprzętu badawczego, aparatury pomiarowej i nowoczesnego parku maszynowego jakim dysponują współczesne wielkie kombinaty przemysłowe. Działalność jednak

naukowa wyższej uczelni bez oparcia o własną bazę, przede wszystkim o duże laboratoria badawcze, to działalność z góry skazana na prace niewielkie, przyczynkarskie, niewiele mające wspólnego z nauką.

„W dziedzinie nauki — powiedział rektor Politechniki Wrocławskiej w tegorocznym przemówieniu inauguracyjnym — zasadniczą sprawą będzie opracowanie pierwszej wersji przyszłego planu 5-letniego badań naukowych. Plan ten w znacznie większym stopniu powinien zrealizować postawione założenia, do których zaliczamy:

— większą jeszcze specjalizację naukową Politechniki Wrocławskiej,

— zwiększenie liczby wielkich programów badawczych, a tym samym osiągnięcie znacznie większej koncentracji kadry w wybranych przez szkołę dziedzinach nauki,

— zapewnienie większej skuteczności wdrożenia wszystkich opracowań naukowych i technicznych szkoły.

Zostaną również wdrożone prace nad kolejnym etapem koncentracji środków, co znajdzie swój wyraz w opracowaniu koncentracji wielkich laboratoriów badawczych uczelni. Aby uzmysłowić o jakie zadania tutaj chodzi, należy stwierdzić, iż w uczelni przewiduje się powstanie około 20 takich laboratoriów, wyposażonych w najnowocześniejsze urządzenia badawcze, w tym również samodzielne minisystemy cyfrowe”.

Tak zrealizowany model naukowy uczelni w oparciu o prawidłowo działającą współpracę z przemysłem, gwarantuje także szybki rozwój społeczno-gospodarczy naszego kraju, co zresztą jest głównym celem tak rozumianej symbiozy.

LECH ISAKIEWICZ

W PRACOWNIACH NASZYCH UCZONYCH

ocalić
od
zniszczenia

Minęły już czasy, gdy człowiek bezmyślnie niszczył swe otoczenie, bezkarnie zadając gwałt przyrodzie. Alarmujące raporty ONZ i tych, którzy nie stracili resztek zdrowego rozsądku, doprowadziły do pewnego ograniczenia ludzkiego wandalizmu.

O ochronie środowiska naturalnego mówi się głośno od kilku lat. Na temat ochrony zabytków i obiektów kultury materialnej tylko od czasu do czasu pojawiają się nieśmiałe głosy, głosy, które jednak z roku na rok przybierają na sile. Coraz bardziej i w tej dziedzinie czujemy się spadkobiercami.

Dziś rozmawiać będziemy z dr inż. Grażyną BALIŃSKĄ — adiunktem w Instytucie Historii Architektury, Sztuki i Techniki.

— Pani doktor, może zechce Pani, w telegraficznym skrócie przybliżyć nam dziedzinę, którą się Pani zajmuje.

Dr BALIŃSKA: W początkach pracy na Uczelni interesowała mnie architektura romańska zachodnich ziem polskich, w szczególności Śląska i województwa zielonogórskiego. Przeprowadziłyśmy wtedy zespołowo badania licznych obiektów romańskich pochodzących z XIII wieku — odtwarzając ich pierwotny wygląd z pozostałych po przebudowach śladów. Praca ta, choć niełatwa, bo wymagająca ciągłych badań terenowych, dawała jednak sporo satysfakcji ze względu na odkrywanie

tak zamierzchniej przeszłości, łączącej się przecież z początkami budownictwa murywanego na naszych ziemiach.

W dziedzinie historii architektury zainteresowała mnie historia technik budowlanych. Dlaczego? — chyba wszystkich nas po trosze interesuje odpowiedź na pytanie: jak? tzn. za pomocą jakich maszyn, narzędzi i metod wznosili przed wiekami swe wielkie budowle Egipcjanie, Grecy, Rzymianie, czym posługiwało się przy budowie monumentalnych świątyń Średniowiecze, czym zaś mistrzowie Odrodzenia i ich następcy.

Właściwym jednak ośrodkiem mego zainteresowania naukowego jest historia urbanistyki i tu przez ostatnich kilka lat zajmowałam się zagadnieniem rozwoju urządzeń handlowych i administracyjnych w zabudowie bloku śródmiejskiego miast śląskich w Średniowieczu.

— Z czego wynikały właśnie takie zainteresowania?

Dr BALIŃSKA: Temat zainteresował mnie między innymi dlatego, że był zupełnie nowy i nikt się tym do tej pory nie zajmował. Zapowiadał się bardzo ciekawie, gdyż bujny rozwój miast na terenie Europy Środkowej ma miejsce dopiero od XII wieku, podczas gdy na południu i zachodzie Europy istnieją już od stuleci wielkie ośrodki miejskie. Na bazie licznych doświadczeń urbanistycznych z wielu setek miast i wielu krajów powstaje na terenach niezainwestowanych, a więc pozwalających na najbardziej swobodną działalność, dojrzały, doskonale zorganizowany schemat miasta. Schemat ten przyjął się na ziemiach polskich. Co najciekawsze — proces tzw. reformy miejskiej, tzn. wprowadzania w praktykę owego doskonałego jak na tamte czasy, a czytelnego przecież nadal w układach urbanistycznych naszych miast modelu, zaczyna się właśnie na Śląsku. Datuje się to od XII wieku, szczególnego nasilenia nabiera

tych dodatkowo najazdami tatarskimi. W prostokątnej, logicznie rozwiązanej sieci ulic, w centrum miasta, znalazł miejsce rynek — plac o przeznaczaniu handlowo-administracyjnym. Na rynku stanęła zabudowa służąca tym celom, zorganizowana w formie bloku budowlanego o swoistej architekturze i urbanistyce, powiązana z całością miasta. Zabudowę tę stanowiły ówczesne stragany i sklepy, tzw. ławy piekarskie i szewskie, jatki rzeźnicze, kramy. Wśród tych ostatnich wyróżniały się tzw. „kramy bogate” — coś w rodzaju współczesnych delikatesów — gdzie sprzedawano artykuły zbytku — przyprawy korzenne, cukier, mydło, niektóre barwniki i tym podobne towary luksusowe. Obok drobnych punktów sprzedaży organizowanych z czasem w hale targowe, powstawały bardzo wcześnie domy towarowe — tzw. domy kupieckie lub inaczej sukiennice, gdzie można było kupić wiele towarów przywożonych przez wielkich kupców z innych miast i krajów — a zwłaszcza poszukiwane zagraniczne sukna. Oprócz handlowych urządzeń, na rynkach powstawały w miarę wzrostu znaczenia samorządu miejskiego, siedziby władzy miejskiej — ratusze. Były na Śląsku okazałe reprezentacyjne budynki z wysokimi wieżami.

W trakcie badań okazało się, że tego rodzaju centrum miejskie w postaci bloku budowlanego o specyficznych cechach architektonicznych, ukształtowało się po raz pierwszy właśnie na Śląsku, nie mając pierwowzorów na zachodzie ani na południu. Jako funkcjonalne rozwiązanie przyjęło się ono w innych dzielnicach polskich, pozostając rzadkością wśród naszych sąsiadów ze Środkowej Europy. To właśnie śląskie sukiennice, znane np. w Nysie, Lwówku i Wrocławiu, już w pierwszej połowie XIII wieku były pierwowzorem dla wielkich hal targowych jak sukiennice krakowskie czy domy kupieckie Torunia czy Poznania.

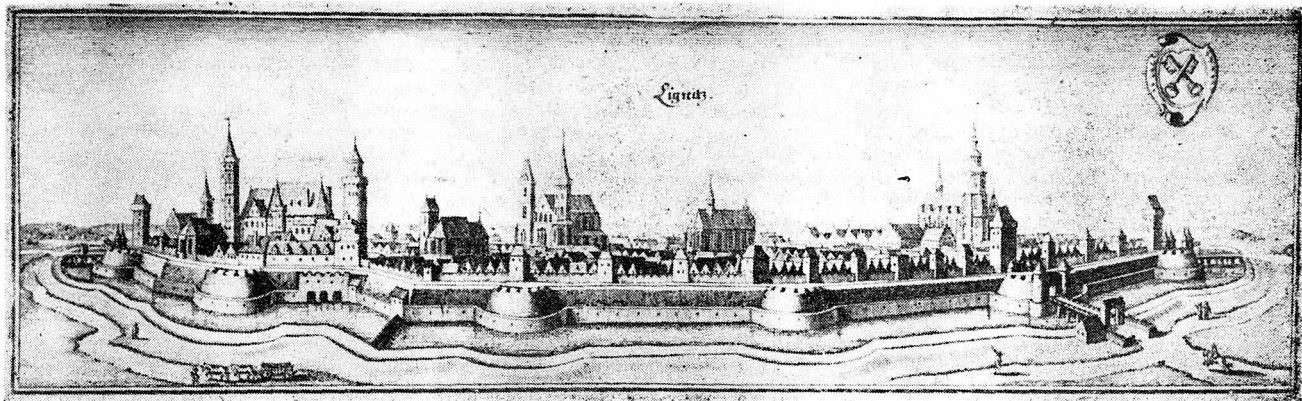
becnie temat „Studia urbanistyczne miast województwa jeleniogórskiego”. Jest to temat bardzo szeroko zakrojony. Istnieje w nim szereg zadań prowadzonych przez odrębne zespoły naukowe. Wiele wyników badań znajdzie zastosowanie praktyczne dzięki współpracy z wojewódzkim konserwatorem zabytków w Jeleniej Górze. Do takich należą historyczno-architektoniczne badania prowadzone przez dwie kilkusetosobowe grupy, a dotyczące pałaców renesansowych i barokowych na terenie ziemi jeleniogórskiej. Badania te pozwolą w wielu przypadkach na zabezpieczenie cennych, zabytkowych obiektów, a może niektórym z nich pozwolą wrócić do życia w najbardziej odpowiedniej do tego formie. Problem ten jest o tyle ważny, że na Śląsku istnieje wiele obiektów pałacowych wraz z towarzyszącą zielenią, które wymagają fachowej opieki konserwatorskiej, a w licznych wypadkach wręcz ratunku konserwatorskiego.

Niebagatelny jest też problem rewitalizacji Starego Miasta stolicy województwa — Jeleniej Góry — bo i takie zadanie prowadzimy w tym temacie pod kierunkiem dyrektora instytutu prof. Jerzego Rozpędowskiego.

Ogólnie mówiąc, jest to działalność polegająca na ratowaniu zachowanego częściowo zespołu kamienic XVII-XX-wiecznych o dużych walorach zabytkowych oraz cennego układu urbanistycznego mającego swe początki w Średniowieczu.

Niełatwe jest to zadanie, aby w prężnie, szybko rozrastającym się mieście uchronić od zagłady wszystko co cenne, co wniosły poprzednie stulecia, a co przez niektórych uważane jest za przestarzałe i niepotrzebne, a więc skazane na likwidację. Likwidacji tej trzeba uniknąć i uczynić to w taki sposób, aby zachowana substancja budowlana właściwie służyła w nowoczesnym ośrodku miejskim. Niezwykle cenna jest w tym wypadku współpraca z Wojewódzką Pracownią Urbani-

Legnica — widok miasta



za panowania księcia Henryka Brodatego, a powtórnie nasila się po najazdach tatarskich w 1241 r. Powstają wtedy liczne ośrodki miejskie, liczące się do dziś — a więc obok Wrocławia: Legnica, Świdnica, Głogów, Nysa, Lwówek, Złotoryja, Jelenia Góra, Brzeg i wiele innych.

— Na czym polega ten nowy, dojrzały schemat miasta?

Dr BALIŃSKA: Model, jaki zaproponowali średniowieczni urbaniści polegał m.in. na uregulowaniu sieci ulic — co było możliwe właśnie w powodu słabego stanu zainwestowania dotychczasowych osad o charakterze miejskim, w wielu wypadkach nadszarpnię-

— Pani Doktor, wystarczy przejechać się trochę po miastach dolnośląskich, żeby zobaczyć jak to wszystko z roku na rok niszczy. Tak mało robi się w sprawie ocalenia wielu cennych obiektów...

Dr BALIŃSKA: Może raczej niewiele się do tej pory robiło..., ale muszę Panią pocieszyć, że sytuacja ta, zwłaszcza w ostatnich latach, poprawia się. Gdyby nawet na sprawy te spojrzeć z własnego podwórka, to muszę powiedzieć, że coraz mniej „śledzimy” i „w księgi zapisujemy”, coraz więcej naszych prac nabiera cech bezpośrednio użytkowych.

W zespole naszym opracowujemy o-

styczną, gdzie działa młody zespół pełen prawdziwego zapału, złożony w większości z absolwentów Wydziału Architektury naszej uczelni.

Działalność nasza jest w pewnym sensie działalnością z zakresu ochrony środowiska. Dotyczy ona środowiska stworzonego przez człowieka w okresie wielu stuleci (XII-XX w.), a więc zespołu dóbr materialnych o ogromnych wartościach kulturowych, które nie mogą ulec zagładzie.

— Życzę więc nam wszystkim, by Pani i Pani koledzy mieli jak największe sukcesy w tej wspaniałej działalności.

MAŁGORZATA KRAMKOWSKA

Wróćmy jednak do współpracy Politechniki z Kombinatem Typowych Elementów Hydrauliki Siłowej, czyli z „Delta-Hydral”, gdyż tylko mała skala może uzmysłowić ogrom problemów.

W realizacji wszystkich dziesięciu tematów brały udział następujące instytuty Politechniki: Instytut Konstrukcji i Eksploatacji Maszyn — zrealizował cztery tematy, Instytut Techniki Ciepłej i Mechaniki Płynów — dwa tematy, Instytut Technologii Budowy Maszyn — dwa tematy, oraz dawny Instytut Maszyn i Urządzeń Hydraulicznych i Aparatury Przemysłowej — dwa tematy.

Truizmem byłoby wspomnianie, że współpraca uczelni z Kombinatem umożliwia prawidłowe realizowanie programów zarówno ze strony nauki, jak i przemysłu. Takim samym truizmem będzie twierdzenie, że współpraca ta daje również możliwości wykorzystania do badań w znacznie większym stopniu urządzeń badawczych i aparatury kontrolno-pomiarowej zarówno przez Kombinat, jak i przez Politechnikę. Podobnych truizmów naliczyć można więcej. Umożliwienie wykorzystania kadry technicznej uczelni przy opiniowaniu i ukierunkowaniu prac badawczych i konstrukcyjnych prowadzonych przez Kombinat. Tematy prac dyplomowych pisanych przez pracowników „PZL-Hydral” podejmowane są pod kątem potrzeb zakładu. W wielu wypadkach kontynuuje się te prace modernizując konstrukcje wykonane w trakcie prac dyplomowych.

Oprócz tych — najważniejszych chyba — korzyści wpływających ze współpracy, wyliczyć można cały szereg korzyści pomniejszych, choć nie mniej istotnych.

Wzajemna wymiana informacji naukowo-technicznej. Pomoc Kombinatowi dla uczelni w uzyskiwaniu nowoczesnego sprzętu dydaktycznego: modele wyrobów, wzorcowe zespoły i układy.

O roli i randze współpracy niech zaświadczy fakt, że poprzednio wykonywane przez Politechnikę prace badawcze i doświadczalne miały charakter wybitnie teoretyczny, obecnie zaś realizowane znajdują się na — nazwijmy to — wyższym poziomie usług.

Oprócz badań, zorganizowane zostały sympozja i konferencje, w których uczestniczyli zarówno przedstawiciele Kombinat, jak i uczelni. Konferencje naukowe odbyły się — między innymi — w Jodłowym Borze koło Kielc oraz w Politechnice i Karl Marx Stadt. Ta ostatnia odbyła się wspólnie w ramach posiedzenia RWPG.

Ostatnim wspólnym przedsięwzięciem zorganizowanym przez uczelnię i Kombinat było zorganizowanie wspólnego kursu programowania na maszynach analogowych dla kadry technicznej Politechniki i „PZL-Hydral”.

Przedstawione wyżej przedsięwzięcia nie wyczerpują całego skomplikowanego tematu jakim jest współpraca nauki z przemysłem. Realizacja umowy między Kombinatem „Delta-Hydral” a Politechniką Wrocławską jest tylko małym wycinkiem tej współpracy. Ideałem byłoby, aby każdy zakład przemysłowy działał w oparciu o działalność naukową, o naukowy potencjał jakiejś wyższej uczelni w kraju. Dobrze też by było, aby wszystkie uczelnie mogły pracować mając do dyspozycji zaplecze w postaci sprzętu badawczego, aparatury pomiarowej i nowoczesnego parku maszynowego jakim dysponują współczesne wielkie kombinaty przemysłowe. Działalność jednak

naukowa wyższej uczelni bez oparcia o własną bazę, przede wszystkim o duże laboratoria badawcze, to działalność z góry skazana na prace niewielkie, przyczynkarskie, niewiele mające wspólnego z nauką.

„W dziedzinie nauki — powiedział rektor Politechniki Wrocławskiej w tegorocznym przemówieniu inauguracyjnym — zasadniczą sprawą będzie opracowanie pierwszej wersji przyszłego planu 5-letniego badań naukowych. Plan ten w znacznie większym stopniu powinien zrealizować postawione założenia, do których zaliczamy:

— większą jeszcze specjalizację naukową Politechniki Wrocławskiej,

— zwiększenie liczby wielkich programów badawczych, a tym samym osiągnięcie znacznie większej koncentracji kadry w wybranych przez szkołę dziedzinach nauki,

— zapewnienie większej skuteczności wdrożenia wszystkich opracowań naukowych i technicznych szkoły.

Zostaną również wdrożone prace nad kolejnym etapem koncentracji środków, co znajdzie swój wyraz w opracowaniu koncentracji wielkich laboratoriów badawczych uczelni. Aby uzmysłowić o jakie zadania tutaj chodzi, należy stwierdzić, iż w uczelni przewiduje się powstanie około 20 takich laboratoriów, wyposażonych w najnowocześniejsze urządzenia badawcze, w tym również samodzielne minisystemy cyfrowe”.

Tak zrealizowany model naukowy uczelni w oparciu o prawidłowo działającą współpracę z przemysłem, gwarantuje także szybki rozwój społeczno-gospodarczy naszego kraju, co zresztą jest głównym celem tak rozumianej symbiozy.

LECH ISAKIEWICZ

W PRACOWNIACH NASZYCH UCZONYCH



Minęły już czasy, gdy człowiek bezmyślnie niszczył swe otoczenie, bezkarnie zadając gwałt przyrodzie. Alarmujące raporty ONZ i tych, którzy nie stracili resztek zdrowego rozsądku, doprowadziły do pewnego ograniczenia ludzkiego wandalizmu.

O ochronie środowiska naturalnego mówi się głośno od kilku lat. Na temat ochrony zabytków i obiektów kultury materialnej tylko od czasu do czasu pojawiają się nieśmiałe głosy, głosy, które jednak z roku na rok przybierają na sile. Coraz bardziej i w tej dziedzinie czujemy się spakobiercami.

Dziś rozmawiać będziemy z dr inż. Grażyną BALIŃSKĄ — adiunktem w Instytucie Historii Architektury, Sztuki i Techniki.

— Pani doktor, może zechce Pani, w telegraficznym skrócie przybliżyć nam dziedzinę, którą się Pani zajmuje.

Dr BALIŃSKA: W początkach pracy na Uczelni interesowała mnie architektura romańska zachodnich ziem polskich, w szczególności Śląska i województwa zielonogórskiego. Przeprowadziliśmy wtedy zespołowo badania licznych obiektów romańskich pochodzących z XIII wieku — odtwarzając ich pierwotny wygląd z pozostałych po przebudowach śladów. Praca ta, choć niełatwa, bo wymagająca ciągłych badań terenowych, dawała jednak sporo satysfakcji ze względu na odkrywanie

tak zamierzchłej przeszłości, łączącej się przecież z początkami budownictwa murywanego na naszych ziemiach.

W dziedzinie historii architektury za interesowała mnie historia technik budowlanych. Dlaczego? — chyba wszystkich nas po trosze interesuje odpowiedź na pytanie: jak? tzn. za pomocą jakich maszyn, narzędzi i metod wznosili przed wiekami swe wielkie budowle Egipcjanie, Grecy, Rzymianie, czym posługiwało się przy budowie monumentalnych świątyń Średniowiecze, czym zaś mistrzowie Odrodzenia i ich następcy.

Właściwym jednak ośrodkiem mego zainteresowania naukowego jest historia urbanistyki i tu przez ostatnich kilka lat zajmowałam się zagadnieniem rozwoju urządzeń handlowych i administracyjnych w zabudowie bloku śródmiejskiego miast śląskich w Średniowieczu.

— Z czego wynikały właśnie takie zainteresowania?

Dr BALIŃSKA: Temat zainteresował mnie między innymi dlatego, że był zupełnie nowy i nikt się tym do tej pory nie zajmował. Zapowiadał się bardzo ciekawie, gdyż bujny rozwój miast na terenie Europy Środkowej ma miejsce dopiero od XII wieku, podczas gdy na południu i zachodzie Europy istnieją już od stuleci wielkie ośrodki miejskie. Na bazie licznych doświadczeń urbanistycznych z wielu setek miast i wielu krajów powstaje na terenach niezainwestowanych, a więc pozwalających na najbardziej swobodną działalność, dojrzały, doskonale zorganizowany schemat miasta. Schemat ten przyjął się na ziemiach polskich. Co najciekawsze — proces tzw. reformy miejskiej, tzn. wprowadzania w praktykę owego doskonałego jak na tamte czasy, a czytelnego przecież nadal w układach urbanistycznych naszych miast modelu, zaczyna się właśnie na Śląsku. Datuje się to od XII wieku, szczególnego nasilenia nabiera

tych dodatkowo najazdami tatarskimi. W prostokątnej, logicznie rozwiązanej sieci ulic, w centrum miasta, znalazł miejsce rynek — plac o przeznaczaniu handlowo-administracyjnym. Na rynku stała zabudowa służąca tym celom, zorganizowana w formie bloku budowlanego o swoistej architekturze i urbanistycznej, powiązana z całością miasta. Zabudowę tę stanowiły ówczesne stragany i sklepy, tzw. ławy piekarskie i szewskie, jatki rzeźnicze, kramy. Wśród tych ostatnich wyróżniały się tzw. „kramy bogate” — coś w rodzaju współczesnych delikatesów — gdzie sprzedawano artykuły zbytku — przyprawy korzenne, cukier, mydło, niektóre barwniki i tym podobne towary luksusowe. Obok drobnych punktów sprzedaży organizowanych z czasem w hale targowe, powstawały bardzo wcześnie domy towarowe — tzw. domy kupieckie lub inaczej sukiennice, gdzie można było kupić wiele towarów przywożonych przez wielkich kupców z innych miast i krajów — a zwłaszcza poszukiwane zagraniczne sukna. Oprócz handlowych urządzeń, na rynkach powstawały w miarę wzrostu znaczenia samorządu miejskiego, siedziby władzy miejskiej — ratusze. Były na Śląsku okazałe reprezentacyjne budynki z wysokimi wieżami.

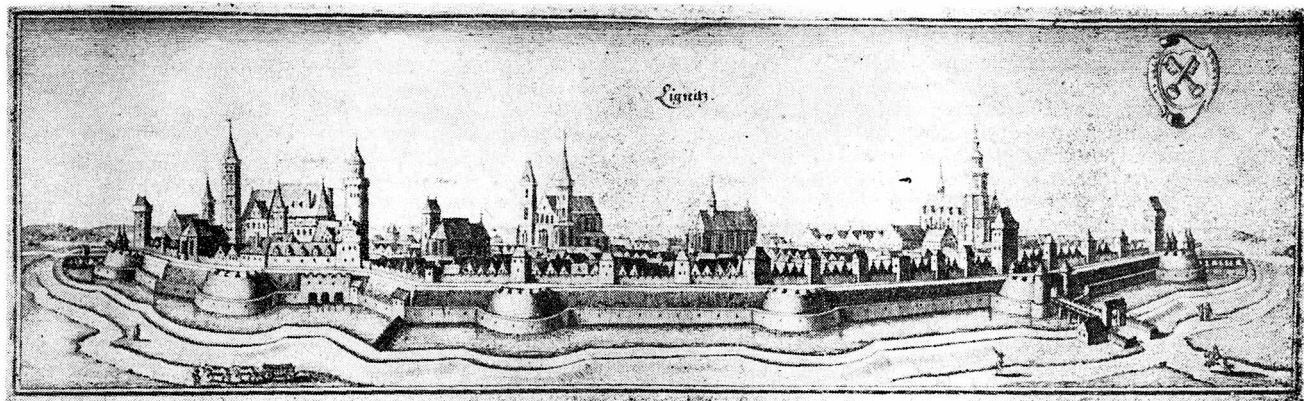
W trakcie badań okazało się, że tego rodzaju centrum miejskie w postaci bloku budowlanego o specyficznych cechach architektonicznych, ukształtowało się po raz pierwszy właśnie na Śląsku, nie mając pierwowzorów na zachodzie ani na południu. Jako funkcjonalne rozwiązanie przyjęło się ono w innych dzielnicach polskich, pozostając rzadkością wśród naszych sąsiadów ze Środkowej Europy. To właśnie śląskie sukiennice, znane np. w Nysie, Lwówku i Wrocławiu, już w pierwszej połowie XIII wieku były pierwowzorem dla wielkich hal targowych jak sukiennice krakowskie czy domy kupieckie Torunia czy Poznania.

becnie temat „Studia urbanistyczne miast województwa jeleniogórskiego”. Jest to temat bardzo szeroko zakrojony. Istnieje w nim szereg zadań prowadzonych przez odrębne zespoły naukowe. Wiele wyników badań znajdzie zastosowanie praktyczne dzięki współpracy z wojewódzkim konserwatorem zabytków w Jeleniej Górze. Do takich należą historyczno-architektoniczne badania prowadzone przez dwie kilkusetosobowe grupy, a dotyczące pałaców renesansowych i barokowych na terenie ziemi jeleniogórskiej. Badania te pozwolą w wielu przypadkach na zabezpieczenie cennych, zabytkowych obiektów, a może niektórym z nich pozwoli wrócić do życia w najbardziej odpowiedniej do tego formie. Problem ten jest o tyle ważny, że na Śląsku istnieją wiele obiektów pałacowych wraz z towarzyszącą zielenią, które wymagają fachowej opieki konserwatorskiej, a w licznych wypadkach wręcz ratunku konserwatorskiego.

Niebagatelny jest też problem rewitalizacji Starego Miasta stolicy województwa — Jeleniej Góry — bo i takie zadanie prowadzimy w tym temacie pod kierunkiem dyrektora instytutu prof. Jerzego Rozpędowskiego.

Ogólnie mówiąc, jest to działalność polegająca na ratowaniu zachowanego częściowo zespołu kamienia XVII-XX-wiecznych o dużych walorach zabytkowych oraz cennego układu urbanistycznego mającego swe początki w Średniowieczu.

Niełatwe jest to zadanie, aby w prężnie, szybko rozrastającym się mieście uchronić od zagłady wszystko co cenne, co wniosły poprzednie stulecia, a co przez niektórych uważane jest za przestarzałe i niepotrzebne, a więc skazane na likwidację. Likwidacji tej trzeba uniknąć i uczynić to w taki sposób, aby zachowana substancja budowlana właściwie służyła w nowoczesnym ośrodku miejskim. Niezwykle cenna jest w tym wypadku współpraca z Wojewódzką Pracownią Urbani-



Legnica — widok miasta

za panowania księcia Henryka Brodatego, a powtórnie nasila się po najazdach tatarskich w 1241 r. Powstają wtedy liczne ośrodki miejskie, liczące się do dziś — a więc obok Wrocławia: Legnica, Świdnica, Głogów, Nysa, Lwówek, Złotoryja, Jelenia Góra, Brzeg i wiele innych.

— Na czym polega ten nowy, dojrzały schemat miasta?

Dr BALIŃSKA: Model, jaki proponowali średniowieczni urbaniści polegał m.in. na uregulowaniu sieci ulic — co było możliwe właśnie z powodu słabego stanu zainwestowania dotychczasowych osad o charakterze miejskim, w wielu wypadkach nadszarpnię-

— Pani Doktor, wystarczy przejechać się trochę po miastach dolnośląskich, żeby zobaczyć jak to wszystko z roku na rok niszczeje. Tak mało robi się w sprawie ocalenia wielu cennych obiektów...

Dr BALIŃSKA: Może raczej niewiele się do tej pory robiło..., ale muszę Panią pocieszyć, że sytuacja ta, zwłaszcza w ostatnich latach, poprawia się. Gdyby nawet na sprawy te spojrzeć z własnego podwórka, to muszę powiedzieć, że coraz mniej „śledzimy” i „w księgi zapisujemy”, coraz więcej naszych prac nabiera cech bezpośrednio użytkowych.

W zespole naszym opracowujemy o-

styczną, gdzie działa młody zespół pełen prawdziwego zapału, złożony w większości z absolwentów Wydziału Architektury naszej uczelni.

Działalność nasza jest w pewnym sensie działalnością z zakresu ochrony środowiska. Dotyczy ona środowiska stworzonego przez człowieka w okresie wielu stuleci (XII-XX w.), a więc zespołu dóbr materialnych o ogromnych wartościach kulturowych, które nie mogą ulec zagładzie.

— Życzę więc nam wszystkim, by Pani i Pani koledzy mieli jak największe sukcesy w tej wspaniałej działalności.

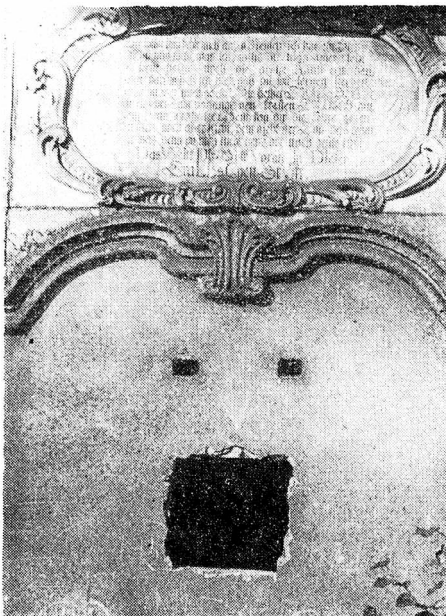
MAŁGORZATA KRAMKOWSKA

PRZEDSTAWMY przykład zapewne lepiej znany od podanych poprzednim razem. Biblia głosi, że *Ziemia na wieki stoi. Słońce wschodzi i Słońce zachodzi, a spieszy się do miejsca owego, kędy wschodzi; albo gdzie indziej: Pan (...) utwierdził okrąg świata, aby się nie poruszył*. Przy dosłownej interpretacji słów Pisma św. wniosek z przytoczonych wersów jest oczywisty. A wniosek ten w średniowieczu ważny był głównie ze względów ideologicznych: pomagał utwierdzać istniejący porządek społeczny. Wiele już było danych przemawiających przeciw geocentryzmowi, a ilość ich zwiększyła się jeszcze po wynalezieniu przez Galileusza lunety. Dzięki niej i Galileusz stał się zwolennikiem teorii heliostatycznej i ku tejże teorii skłaniali się nawet — czy wręcz uznawali — niektórzy dostojnicy Kościoła. Jednakże *nieszczęściem dla Galileusza* — pisze I. Bernard Cohen — *nie był to sprzyjający dla Kościoła czas na wprowadzanie tej zmiany, jeśli się zważy nalegania Soboru Trydenckiego na dosłowną interpretację Pisma*. A już Kopernik przestrzegał w liście dedykacyjnym do Pawła III przed takimi, co to lubią bredzić i mimo zupełnej nieznajomości nauk matematycznych roszcząc sobie przecież prawo do wypowiadania o nich sądu, na podstawie jakiegoś miejsca w Piśmie św., tłumaczonego źle i pokrewnie odpowiednio do ich zamierzeń, ośmielią się prześladować moją teorię.

Źródło sporów tkwiło w tym, na co zwrócił już uwagę Galileusz, że Biblia jest pisana językiem potocznym, nie naukowym, w tym, że twierdzenia zawarte w przytoczonych wypowiedziach oparte są na potocznych, zdroworozsądkowych obserwacjach, obserwacjach ulegających narzucającej się, acz często wprowadzającej w błąd, oczywistości. A ponieważ taki właśnie wynik obserwacji był ze wszech miar pożądanym ze względu na istniejącą ówczesną strukturę społeczną, osiągnięcia nauk matematycznych po prostu nie mogły uzyskać oficjalnej aprobaty.

Nie wszędzie jednak literalna interpretacja w stosunku do Biblii da się utrzymać. Oto jeden z najpiękniejszych erotyków w literaturze światowej, „Pieśń nad pieśniami”, oderotyzowuje się w ten sposób, że każe się pod postacią Sulamitki rozumieć Kościół, pod postacią jej ukochanego, który *idzie skacząc po górach, przeskakując pagórki* — Chrystusa. No bo skąd wśród Ksiąg Mojżeszowych, Dzieł Apostolskich, erotyk? Zresztą i w kwestii geocentryzmu należało również zrezygnować z literalności, wiele bowiem od czasu Soboru Trydenckiego upłynęło wody w Tybrze i na nic już się zdało przeczenie osiągnięciem nauki na podstawie *jakiegoś miejsca w Piśmie św.* — jak pisał kanonik warmiński w swym opus vitae.

W przypadku hipotez, idei, gdzie sens — wydawało by się — jest jednoznacznie określony i od razu widoczny, dokonać można różnych „odczytań”, często bardzo się od siebie różniących, różnych interpretacji, inaczej przedstawiających ich sens. Bo jeśli nawet widzenie obiektywnej rzeczywistości może być różne (a i co do obiektywności są niekiedy również wątpliwości), to coż dopiero widzenie idei, systemów, dzieł rąk i myśli ludzkich. Czy mimo to jednak możliwe jest dotarcie do jądra jakiejś idei, jedynie prawdziwe odczytanie niedookreślonego często systemu, np. filozoficznego, do jedno-



Collage: J. LIEBERSBACH

O interpretacji (2)

Adam Drozdek

znacznie określonego kształtu zasobności dzieła (Jakub Litwin)?

Otóż już w przypadku interpretacji utworów literackich *każdorazowo wchodzi w grę domysł jakiejś pierwiastkowej struktury utworu; dzieło ucale nie przedstawia sobą układu, który by można — pisze J. Sławiński — raz na zawsze unieruchomić „jednym słusznym” odczytaniem docierającym do jego stwardniałego centrum. Centrów takich może być wiele, a istnienie każdego z nich jest w dużym stopniu wyznaczone przez założenia i uprzedzenia interpretacyjne, z którymi przystępujemy do dzieła*.

Jarosław Ładosz w odniesieniu do posiadającego pewne rysy systemu Kanta twierdził, że wszelkie odpowiedzi na pytania *jak Kant rzeczywiście traktował matematykę, co istotnie rozumiał przez „konstruowanie” (...) muszą (...) okazać się ostatecznie tylko taką lub inną modernizację poglądów Kanta*. J. Ładosz widzi jednak wyjście z tej niewygodnej poniekąd sytuacji. Otóż nie należy opierać się na *immanentnej analizie tekstu*; odpowiedzi należy szukać *poprzez zrozumienie historycznych przyczyn trudności, mętności określeń i przejść w systemie kantowskim, zrozumienia uwarunkowania splotu rozlicznych wątków zawartych w spekulatywnych konstrukcjach czystego intelektu i miejsca matematyki w jej ramach; poprzez zrozumienie konstrukcji, która programowo jest ahistoryczna, arozwojowa, a jednak zawierająca w sobie próby ujęcia procesu poznania w sposób dialektyczny. Takie zrozumienie (...) może dać jedynie analiza dalszego rozwoju samej matematyki i jej problemów filozoficznych*.

A więc rozumienie ma być tym narzędziem poznawczym, które pomoże w przeniknięciu w istotę myśli kantowskiej. Rzecz w tym, że na owo rozumienie powoływać się mogą również dobrze interpretatorzy reprezentu-

jący odmienne poglądy na daną ideę (por. krytyki Kanta z lewa i prawa), a *analiza dalszego rozwoju samej matematyki i jej problemów filozoficznych* może wypaść odmiennie u różnych myślicieli. Uzyskanie jedynie słusznej interpretacji, zrozumienie intencji twórcy, przeniknięcie do obiektywnego sedna dzieła, jest iluzją. Nie jest możliwe odczytanie, czy raczej odgadnięcie, prawdziwych zamysłów twórców dzieł i idei, wydobycie ich rzeczywistego sensu. W każdym przypadku będzie to tylko interwencja interpretatora w treść dzieła, przedstawieniem jednego z możliwych odczytań, nie zaś jedynego. Każde dzieło, nie tylko literackie, *zostanie odniesione — jak stwierdza J. Sławiński — do kultury literackiej interpretatora, do jego wrażliwości, gustów i zapatrywań ukształtowanych przez bliskie mu tradycje i poetyki, a także do norm i postulatów, które głosi*. To te gusty, wrażliwość, etc. każą jednemu interpretatorowi widzieć w wierszu Norwida *pean wieszczą*, innemu — *udziwniony opis przeżyć chorego człowieka*, one pozwalają powiedzieć o małym poetyckim słowie *merde*, że jest *najpiękniejszym może słowem, jakie Francuz kiedykolwiek wymówił*, a o okrzyku „hej!”, że *niesie z sobą nędzę smutnych pól*, etc. Jednakże owe gusty i wrażliwości są w mniejszym czy większym stopniu określane przez warunki obiektywne, a więc istniejące idee, systemy światopoglądowe, systemy wychowawcze, religie, przez stosunki społeczne i ekonomiczne. Przyznając, że „ostatnią instancją” są te ostatnie, zaznaczyć należy, iż ich wpływ na różne przejawy aktywności ludzkiej jest niejednakowy, a zatem nie w tym samym stopniu determinują sposób widzenia i odczytywania słów, myśli, dzieł. O ile w przypadku interpretacji słów Pisma Św., interpretacji danych historycznych i archeologicznych, wpływ tej instancji był dobrze widoczny, to w przypadku odczytywania myśli Norwida wpływ ten już się nieco zaciera, a u Zapolskiej i Hugo jest właściwie niewidoczny. I nie zawsze można go znaleźć: pewne predyspozycje psychofizyczne twórcy determinują zarówno kształt dzieła jak i postać interpretacji.

Jednakże interpretacje dzieł, poglądów, idei ważnych w jakiejś społeczności, nurtujących umysły ludzi, a przede wszystkim interpretacje kształtujące poglądy ludzi, są określane przez warunki obiektywne, przez stosunki społeczne, jak w przypadku geocentryzmu, polityczne, jak w przypadku etnogenezy Słowian. Ponieważ istnieje zawsze wielość wpływów determinujących interpretatora do określonego odczytania jakiegoś dzieła, czy widzenia danych, ponieważ w przypadku każdego interpretatora warunki te zawsze się różnią, mamy do czynienia z różnymi interpretacjami, praktycznie nigdy nie identycznymi. Wpływy te są tak silne, że kontakt czystego podmiotu z czystym przedmiotem, pragnienie fenomenologów, okazuje się złudą. Ich siła sprawia, że niemożliwe jest widzenie takie, jak pragnąłby tego ongiśniejszy twórca. I te wpływy również powodują, że wciąż na nowo próbuje się dotrzeć do „jedynie prawdziwego” sensu, prawdziwego jednak ze względu na panujące warunki. One to w końcu powodują konieczność pisania wciąż na nowo historii — nie tylko ze względu na odkrycie nowych źródeł.



Fot. J. BORTKIEWICZ

KULTURA STUDENTÓW WROCŁAWSKICH do 1956 r.

(1)

Omówienie kultury studentów wrocławskich narażać na szereg trudności głównie dlatego, że wiele zbiorów archiwalnych i czasopiśmienniczych uległo zniszczeniu lub zagubieniu. Początków należy szukać już w... XIX wieku.

Polonia wrocławska

W XIX wieku we Wrocławiu mieszkało lub przebywało sezonowo wielu Polaków. Korespondent wrocławski „Nowin Raciborskich” pisał w 1892 r. „Dzisiaj to już i z 50 000 ludzi mówiących po polsku zamieszkuje Wrocław! Niejeden pomyśli: a toż tam całe miasto polskie, tymczasem daleko do tego. Wrocław liczy obecnie 400.000 dusz, a pomiędzy tymi 50.000 jest prawdziwych Polaków może tylko z 10.000”. Dla wielu przybyszów polskich ze wsi i miasteczek Wielkopolski, Pomorza i ze Śląska pobyt w wielkim mieście oznaczał znierumienienie.

W takiej sytuacji powstawały polskie stowarzyszenia zrzeszające Polaków zatrudnionych we wrocławskich zakładach przemysłowych, kupców, rzemieślników, inteligencję: Towarzystwo Przemysłowców Polskich, kółko śpiewu „Harmonia”, „Przytulisko”, Stowarzyszenie Handlowe Polskie, Towarzystwo Polsko-Katolickie, Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”.

Studenci polscy w Uniwersytecie do 1914 r.

Dużą rolę w życiu Polonii wrocławskiej odgrywała młodzież polska studiująca w Uniwersytecie Wrocławskim i jej organizacje studenckie: „Polonia”, Towarzystwo Literacko-Słowiańskie, Wrocławskie Koło Towarzyskie Akademików Polaków, Towarzystwo Polskich Górnoślązaków, Towarzystwo Akademików Górnoślązaków, Concordia i inne.

ŻYCIE KULTURALNE STUDENTÓW W WYZWOLONYM WROCŁAWIU

Pierwsze imprezy kulturalne

Brak szczegółowych danych uniemożliwia przedstawienie początków życia kulturalnego studentów w wyzwolonym Wrocławiu. Wiemy tylko, że pierwsze imprezy kulturalne zostały zorganizowane jeszcze przed otwarciem uczelni. Wytwarzały one wówczas więź towarzyską między członkami organizacji studenckich. Wiele imprez zorganizowano też z myślą dostarczenia rozrywki i wyżycia się, uzyskania środków pieniężnych na zasiłki, stypendia, działalność wydawniczą itp.

W pierwszych latach po wyzwoleniu Wrocławia szczególną popularnością wśród studentów cieszyły się wieczorki i bale oraz tzw. herbatki zapoznawcze oraz zespoły teatralne.

Amatorskie zespoły teatralne

Pierwszy teatr studencki stworzyła grupa około 30 studentów wrocławskich różnych wydziałów Uniwersytetu i Politechniki na przełomie lat 1945/46. Jego inspiratorem, kierownikiem i reżyserem był Janusz Tański, zdemobilizowany oficer 1 Armii WP, który w czasie wojny prowadził amatorski teatr wojskowy.

Zespół Tańskiego rozpoczął działalność w lutym-marcu 1946 r. Szopką Akademicką pt. „Wpływ przez Wrocław”. Było to jedno z pierwszych widowisk teatralnych w wyzwolonym Wrocławiu. Poruszano w nim problemy środowiska studenckiego i całego społeczeństwa Wrocławia w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu miasta. Szopka została wystawiona w marcu i kwietniu 1946 r., a jej autorami byli: Jerzy Cieślukowski, Janusz Tański, Karol Trafikowski.

Zespół Tańskiego rozpoczął swoją działalność Szopką Akademicką, ale wkrótce wystawił też składankę estradową i „Zamach” Brezy. Występował też w czasie zabaw studenckich w stołówce „Cichy kącik” przy ul. Olszewskiego. Trudne warunki materialne podczas studiów zmuszały członków tego zespołu do pracy zarobkowej i odrywały ich uwagę od działalności artystycznej. W związku z tym po wystawieniu „Zamachu” Brezy nie zdecydowali się oni więcej na widowiska wymagające skomplikowanych zabiegów, wysiłku i czasu.

Dużą rolę w życiu kulturalnym studentów wrocławskich odegrał także Wrocławski Teatr Akademicki (WTA). W latach 1947–1949 posiadał on prawie monopol na działalność kulturalną we własnym środowisku. Przedstawił on rewiewo-rozrywkowe składanki w czasie studenckich imprez rozrywkowych, balów i zabaw tanecznych, a w 1947 r. wystawił komedię pod tytułem „Roztwór profesora Pytla”. Trudności organizacyjne, wyjazd autorów programów i wykonawców z Wrocławia po skończeniu studiów, krytyka programu w dyskusjach o kulturze studenckiej przyczyniły się do załamania działalności WTA, który rozwiązał się 15 października 1949 r.

Wśród wrocławskich zespołów artystycznych działających w latach 1945–1947 powszechne uznanie zdobyły, obok teatrów studenckich, także chóry: Akademicki Chór Techników i mieszany chór studentów wydziału lekarskiego.

Akademicki Chór Techników został zorganizowany 7 grudnia 1946 r.; występował w czasie imprez kulturalnych i różnych uroczystościach w Politechnice Wrocławskiej, w audycjach Polskiego Radia i w imprezach otwartych dla mieszkańców Wrocławia. Jego założyciele i pierwsi członkowie uważali go za kontynuatora Lwowskiego Chóru Technicznego.

W 1948 roku powstał mieszany chór studentów wydziału lekarskiego. Uczestniczył on w imprezach na terenie Uniwersytetu Wrocławskiego i poza nim.

W wielu imprezach artystycznych występowały, obok teatrów i chórów, także studenckie orkiestry, zespoły taneczne i baletowe, recytatorskie. Dzisiaj niewiele można powiedzieć o okolicznościach ich powstania i działalności. Wiadomo tylko, że często przeżywały one kryzysy i rozpadały się z powodu nieudolności organizatorów, opiekunów i kierowników, z braku odpowiednich instrumentów i programów. Były one nieraz wyrazem pragnień i ambicji studenckich kół naukowych i regionalnych oraz innych organizacji studenckich.



Maciej
Kałuszyński

MORALIA

MORALIA

Miłość i nienawiść

MIŁOŚĆ W TYTULE NIE OZNACZA WCALE, ŻE rzecz będzie o sprawach męsko-damskich. Niemniej jednak miłość w tytule pozwala się spodziewać, że będzie coś o miłości. Wielość rzeczy, do których odnosi się słowo „miłość” spowodować wszelako musi, że nie wszystkie oczekiwania mogą zostać spełnione.

Na krakowskim Kleparzu staruszka o wyglądzie emerytowanej nauczycielki przerywa wysypywanie chleba na chodnik i z bojowym okrzykiem, wymachując laską goni leniwego, spasionego gołębia, który nieświadom niebezpieczeństwa niespiesznie ucieka pieszo. Krótkowzroczność i słaba kondycja staruszki ratują życie gołębiowi. Mój przyjaciel, świadek tej sceny, prosi zdysznaną starszą panią o wyjaśnienie. — „Bo te gołębie, diabelskie nasienie... Ja tu proszę pana codziennie chleb wysypuję, specjalnie kupuję. Stać mnie na to, choć emerytka jestem. A te diabły gołębie przylatują i wszystko zeżerają. Nie idzie wytrzymać z nimi. A ten chleb to ja proszę pana wysypuję dla synogarlic, bo ja kocham synogarlice”.

Miłość i nienawiść. Jakoś te uczucia przewrotnie ze sobą powiązane, absurdalnie czasami współwystępują. Uzupełniają się prawie. Jak dwie strony monety. Jak dwa bieguny magnesu. Tak je widzi większość ludzi. A taką chyba relację między nimi ukazać chciał rysownik przedstawiając symbol — postać o dwu twarzach. Motyw to częsty w poezji i w literaturze od najstarożytniejszych kosmogonii do współczesności. Miłość i nienawiść — dwa przeciwstawne uczucia, sprzeczne ze sobą, a gdzieś w środku między nimi przepaść obojętności.

Literatura chętnie wykorzystuje jaskrawe przykłady równoczesnego występowania tych uczuć skierowanych na ten sam obiekt. Podobne zjawiska opisuje psychologia określając je terminem ambiwalencja. Istotą ambiwalencji jest komponenta łatwo zauważalna w Kochaniu połączonym z nienawidzeniem: — „chcę i nie chcę zarazem”.

Wdrożenie tej sprzeczności do systemów etyki to dość łakomy kąsek dla każdego, kto pokochał dialektykę i nienawidzi zarazem Zenona z Elei. Tak się jednak składa, że ci którzy odnoszą współcześnie sukcesy w kunszcie stosowania dialektyki, jako jeden z kanonów swojej filozofii głoszą kult faktów i ścisły związek też filozoficznych z tym co o rzeczywistości mówi nauka. Antynomiczność motywacji dobrze rozcieńcza się w teoriach psychologicznych i roztwór ten może być nieszkodliwy, a nawet korzystny dla mentalistycznych teorii etycznych, które bazują na woli ludzkiej, intuicji, uświadomionych i nieuświadomionych popędach. Jednak podejście do problemów etyki, które koncentruje się na realnych skutkach czynów ludzkich, lub przynajmniej uznaje istotną ważność uwzględniania skutków przy formowaniu oceny moralnej, napotyka tu poważne trudności.

Dopóki Jaś kocha Zosię i zarazem ją nienawidzi, dopóty mimo że jest to być może ciekawy fakt psychologiczny, myślenie etyczne nie ma w zasadzie nic do roboty. Bardzo docieklawe myślenie etyczne już w tym momencie znacznie się jednak trapić, bo widzi ów fakt psychologiczny perspektywicznie, w powiązaniu z możliwymi czynami i ich następstwami. Pojawić się więc musi pytanie, czym to się skończy, czyli co Jaś robi Zosi z tej miłości i nienawiści, albo co robi Zosi z miłości, a co jej robi z nienawiści. Docieklawe myślenie etyczne nie pójdzie na dialektyczny sofizm, że Jaś to tam robi Zosi i zarazem jej nie robi tego. Można bowiem kochać i nienawidzić, lecz nie można zrobić i nie zrobić zarazem.

Mniej docieklawe, nasze powszednie myślenie etyczne, ocknie się zapewne dopiero, gdy Jaś stanie przed sądem i już nie hipotetycznie, lecz indukcyjnie rozważany będzie czyn Jasia na Zosi. Wtedy nawet nie będzie ważne czy Jaś zrobił właśnie to Zosi bo ją kochał, czy dlatego, że ją nienawidził. Ważny będzie goły fakt dokonany i nieodwra-

calny oraz nasza w świetle tego faktu postawa wobec Jasia. Czytelnik sam zechce rozważyć czy Jaś był świnią czy też nie.

Jednakowoż można bez żadnych antynomii kochać synogarlice i nienawidzić gałębi, kochać ludzi a nienawidzić faszystów, kochać Zosię a nienawidzić Babę Jagę. Wtedy występują po prostu pary różnych uczuć, które mogą, ale nie muszą, być jakoś tam ze sobą sprzężone. Warto zastanowić się, czy miłość i nienawiść nie są dwoma zupełnie różnymi uczuciami „z dwu różnych beczek”. O tym czy się coś albo kogoś kocha decydują zwykle pewne własności całościowego obiektu. To samo dotyczy nienawiści. Nie ma żadnej podstawy aby sądzić, że na jednym obiekcie nie mogą istnieć równocześnie własności, które mogą wywołać naszą miłość i własności, które mogą wywołać naszą nienawiść. A zatem nie stopniowalna triada uczuć: miłość — obojętność — nienawiść, lecz dwie niezależne pary uczuć opozycyjnych: miłość — obojętność, nienawiść — obojętność. Można bowiem kochać i nienawidzić, ale nie można kochać i być obojętnym.

Powiadają moralisci, że miłość jest uczuciem pozytywnym, twórczym, a nienawiść jest destrukcyjna. Sądzę, że destrukcyjna jest tylko obojętność. Zarówno miłość jak i nienawiść są ważnym motorem naszych poczynań czasem dobrych, czasem złych, a jednym z owych poczynań wymagających uczuciowego motoru jest myślenie etyczne — warunek rozpoznania dobra i zła.

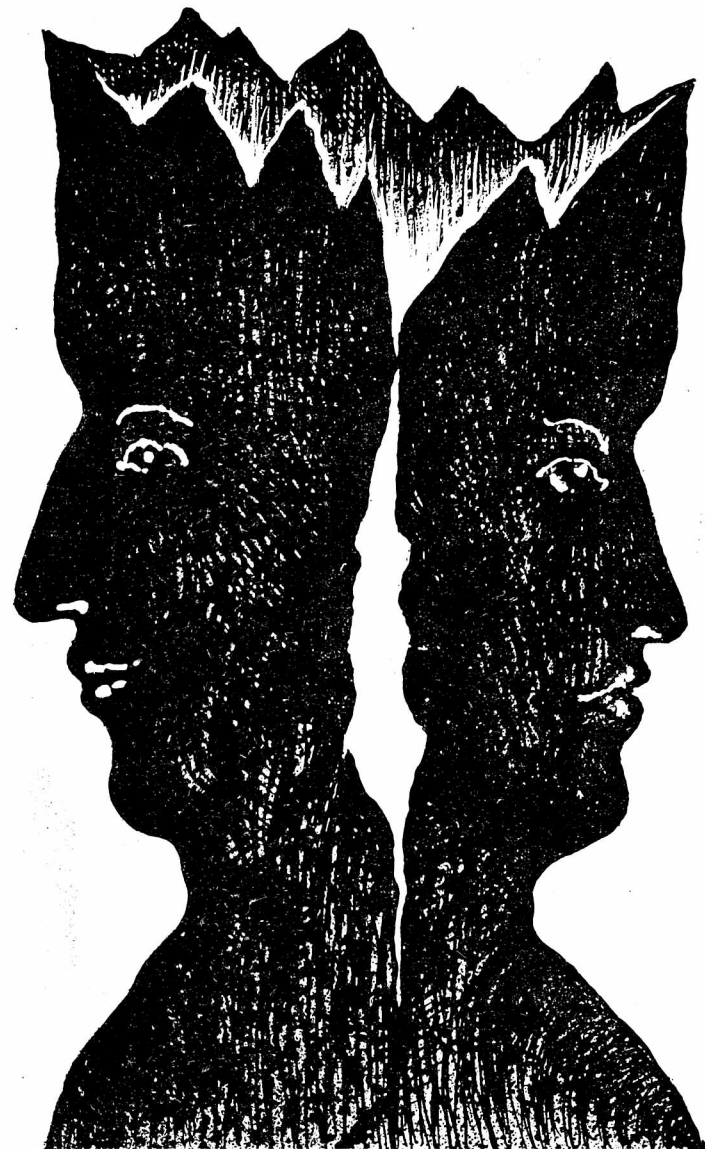
Rozważania powyższe zmierzają, jak łatwo zauważyć, do moralistycznej tezy nakazującej nienawidzić obojętności. Z punktu widzenia większości systemów etycznych moralistyczne nawoływanie do nienawiści bardzo źle jest widziane. Wszak w rzeczywistości nienawiść ta nie na pojęcie obojętności ma być skierowana, lecz na żywych ludzi, którym się obojętność przydarzyła. Postulując myślenie etyczne wzdragam się więc być szeryfem nienawiści człowieka do człowieka.

Lecz w szkicu tym, pozostając w ciasnej klatce pojęć moralistycznych, pozostaje mi chyba tylko namawiać do kochania obojętności. Wpadam tedy w sprzeczność z tezami wyżej ogłoszonymi, ale jako głęboki humanista, ku ludziom szeroko otwarty, znieść winienem mężnie ciężar tej sprzeczności. I tak można by rzec o miłości i nienawiści zakończyć, gdyby nie bunt myślenia etycznego, które wszak jest w tych szkicach postacią centralną.

Ponieważ tylko obojętność jest zła, wniosek moralistyczny można sformułować nie apodyktycznie, lecz alternatywnie: Nie bądźcie obojętni wobec obojętności, a czy kochacie obojętnych czy ich nienawidzicie, to już obojętne.

Chyba że w konkretnym przypadku myślenie etyczne coś zgola innego podpowie.

MACIEJ KAŁUSZYŃSKI



Rys. M. DZIUBINSKA

SKRETY

Leon Krzemieniecki

EROTOMITY

TEMAT „ars amatoria”, który omówił wdzięcznie w strofach łacińskich zacny poeta Owidiusz, jest odwieczny, nieustanny i prawdziwie nigdy nie wyświechtany. Cokolwiek powiedzieć lub nawet wyznać — wszystko mało. Eros, Psyche i Afrodyta oraz tym podobne bóstwa i niebóstwa, które patronują

wszelkim poczynaniom obojga płci na tym polu, stały się symbolami natury żywej i wrzającej, skierowanej ku szczęściu, zachwytowi, olśnieniu i... zachowaniu gatunku.

Wygłosiłem ważną myśl. Proszę o przerwę w czytaniu oraz minutę zadumy i kontemplacji, przede wszystkim koncentracji umysłu tudzież rozumu.

Na taki temat wypowiedziano już nader wiele i spisano tomiskaapełniające pod sufit narodowe i powszechne regałyprzeznaczonych bibliotek. Współczesne konflikty i scysje największego kalibru nie są wyłącznie współczesnymi. Mają odpowiedniki w przeszłości, w historii. Muszą i powinny istnieć.

Dawni myśliciele z pogranicza tradycyjnej filozofii i przyśłościowych nauk społecznych twierdzili odpowiedzialnie, że motorem działania ludzkiego są głód i miłość. Nie wdając się w przydługie dysputy z poglądami będącymi odbiciem innych zgoła uwarunkowań, dochodzi się do wniosku nieco satyrycznego, że wytrzebiłszy głód, natomiast nie naruszyliśmy miłości jako potrzeby naturalnej, w jej post factum (po sjeście miłosnej) przechwałce.

To ostatnie miałem na myśli i sercu, wiążąc w układzie jednowyrazowym zadomowionego na dobre w domu, kinie, teatrze, barze, klubie, parku, na ulicy, na ziemi i niebie, greckiego bożka Erosa z greckim również mitem. Po prostu wstawiłem nie lekkomyślnie ni spontanicznie erotymity pomiędzy znane pojęcia, jak erotyk, erotyka, erotyczny, erotoman, erotomania i erotyzm. Ze względu na

wieloaspekt nowy rzeczownik gramatycznie abstrakcyjny występuje w liczbie mnogiej. Aby nie rościć sobie uprawnień do wygłaszania kazań, jako satyryk z zawodu i poczucia, dedykuję niniejsze slogany nowatorskie i buńczuczne na zasadach regulaminu Hyde-Parku.

Kiedy skombinowałem zawarte w tytule dziwactwo, znakomity językoznawca zapytał z ubolewaniem: „Jak się to je młody człowieku?”. Miałem już odrzec niedelikatnie, że „to” się nie je, ale kocha, jednak kierując się zasadą złotego milczenia, przeknąłem zażenowanie. To oznacza, że rzecz należy wyłuszczyć, jak ucztę pretorów rzymskich „ab ovo usque ad mala”, od powitania po epilog.

Wybaczcie. Od dawna korciło mnie, aby coś nie coś napomknąć o wybujałej erotyce, o stosunkach międzyludzkich w sferze płeć contra płeć, masculinum wobec femininum. Oraz vice versa. I niestety o wulgarnych zasłyszanych tu i ówdzie w miejscach publicznych na temat miłosnych przeżyć stanowiących przecież naturalne piękno ludzkiego żywota od urodzenia po co najmniej 100 lat!

To zaiste trudne i złożone! Do dotychczasowych osiągnięć — nic dodać, nic ująć. Kiedy zapytałem koleżankę (atmosfera przyciemnień, przypodłogowo zwisających kin-kietów) „czy nie ma czegoś na serce? jakiegos antyerotyku?”, odpowiedziała wręcz, więcej niż dowcipnie: „chociażbym nawet miała i tak bym tobie nie podała”. W ten szarozimowy dzień zakwitło słońce na nieboskłonach i w zbo-łalej myśli. To był naprawdę wielki dzień! Pamiętasz,

Anno? Teraz wędruję chodnikiem i śpiewam w skali gór-
nego „C”:

Ty nie wiesz — Dziewczę! — że imię twoje
całe godziny myślami pieszczę.
Ty nie wiesz — Dziewczę! — ile upojeń
dają mi proste dla ciebie wiersze.

Ty nie wiesz — Dziewczę! — ile w twych oczach
wśród księżycowych wieczorów czytam.
Ty nie wiesz — Dziewczę! — jaka tęsknota
do ciebie w sercu moim zakwitła...

Jeżeli na jakiejś ścieżce lub gościńcu boryka się człowiek w powołanej materii z rozterkami charakteru psychicznego albo co gorsza! fizycznego, dobrze będzie przypomnieć trafny aforyzm mistrza tej literackiej formy Jerzego Stanisława Leca: „Czekamy wszyscy na wielką miłość. Ale czy uskładamy ją sobie z małych miłości?” Taka miłość jest na pewno jedna, jedyna i niepowtarzalna. Niestety. A może właśnie — „stety”? W przypadkach tak zwanych „ciągotek” czysto cielesnych wystarczy przecież — jak radził lekarz w starożytności anegdocie — szklanka zimnej wody. Sprzyja bowiem ochłodzić i silnej woli.

Do zobaczenia na juwenaliach!

O słuszny głos

Włodzimierz Kalicki

PRZED drzwiami sali — kilkanaście osób. To uczestnicy spotkania. Z prelegentem na uboczu rozmawia właśnie prowadzący to spotkanie. Prowadzący wygląda dzisiaj nietypowo: marynarka, jasna koszula, krawat, pot na czole. Oczami daje rozpaczliwe znaki swemu pomocnikowi: „mało ludzi, nie ma przygotowanych pytań, gdzie są ci, których miałeś sprowadzić?”. Dopinguwany pomocnik ściska ręce znajomym: „fajnie że

teczki i wysyła je na salę. Mija godzina i kilka osób wychodzi. Wreszcie prelegent skończył: czy macie państwo jakieś pytania? Cisza i spojrzenia na zegarki. Pomocnik powstrzymuje wzrokiem ubierające się osoby. „Dziękujemy bardzo za tak szczegółowe wyjaśnienie problemu, a kolegów proszę o pozostanie jeszcze na sali” — prowadzący odprowadza jeszcze prelegenta, pomocnik dyskretnie obserwuje wypełnianie listy obecności...

w dyskusji

jesteś, nie zapomnimy tego, liczę na twoje pytania”. A o czym to jest? — pyta jeden z przybyłych. Pomocnik szybko wyjaśnia. Prowadzący ociera dłonią mokre czoło, gasi kolejnego papierosa. Zaczynamy. Pomocnik pomimo protestów rozsada słuchaczy co dwa krzesła — sala jakby się bardziej zapelniła. Prelegent zaczyna mówić. Przed słuchaczami pojawiają się książki, pod stolikami dwie gazety. Prowadzący szybko wypełnia pismem kar-

Ten scenariusz spotkań dyskusyjnych znany jest każdemu studentowi. Nie ważne, czy dotyczą spraw rolnych, czy sytuacji politycznej w egzotycznym kraju. Bywają co prawda spotkania interesujące, dyskusje żarliwe i ważne, ale niestety rzadko.

Animować „spotkania” wśród studentów starają się dosłownie wszyscy: agendy, instancje, pionierzy organizacyjne, kluby zainteresowań, koła naukowe itp. Cóż, kiedy udają się one od wielkiego

dzwonu, zwykle wówczas, gdy magne-
sem jest bardzo popularne nazwisko
lub zgola sensacyjna tematyka. Orga-
nizowane są zwykle metodą chałupni-
czą, ich forma zależy od intuicji i wy-
czucia organizatora, nie zaś od jego
wiedzy. Instytucja, która powinna była
prowadzić działalność inicjującą i in-
struktażową w tej materii, Studenckie
Ośrodki Dyskusyjne „Publicum” nie
spełnia swego zadania. Działają one
jakby w konspiracji, grupując niewiel-
ką ilość słuchaczy. W zasadzie nie pro-
wadzą pracy szkoleniowej, przygoto-
wującej organizatorów dyskusji. Im-
prezy dyskusyjne w klubach studen-
ckich traktowane są przez kierownic-
twa klubów z zainteresowaniem wte-
dy, gdy chodzi o ratowanie podupada-
jącej statystyki. I nie ma się co dzi-
wić: robenie dużej ilości „słusznych”
spotkań, (bezwartościowych z każdego
punktu widzenia) nie wymaga zbyt wie-
le wysiłku. Studenci rozmawiają więc
przy piwie lub wódce. Autorytetem
jest wtedy każdy z nich, byle w przed-
miocie rozmowy nie był kompetentny.
„Akwarium” to dla rozmówców zwykle
synonim nowego typu tramwaju, a nie
np. technika dyskusowania, proponowa-
na przez m.in. Uniwersytecką Szkołę
Dydaktyki Grupowej.

Niecodzienny dorobek tej instytucji
w zakresie teorii dyskusowania, osią-
gnięty wielkim wysiłkiem jej młodych
działaczy, odchodzi w zapomnienie. A
szkoda. Klasyfikacja typów dyskusji to
przecież rezultat kilkuletniej żmudnej
pracy Uczelnianej Szkoły Dydaktyki
Grupowej.

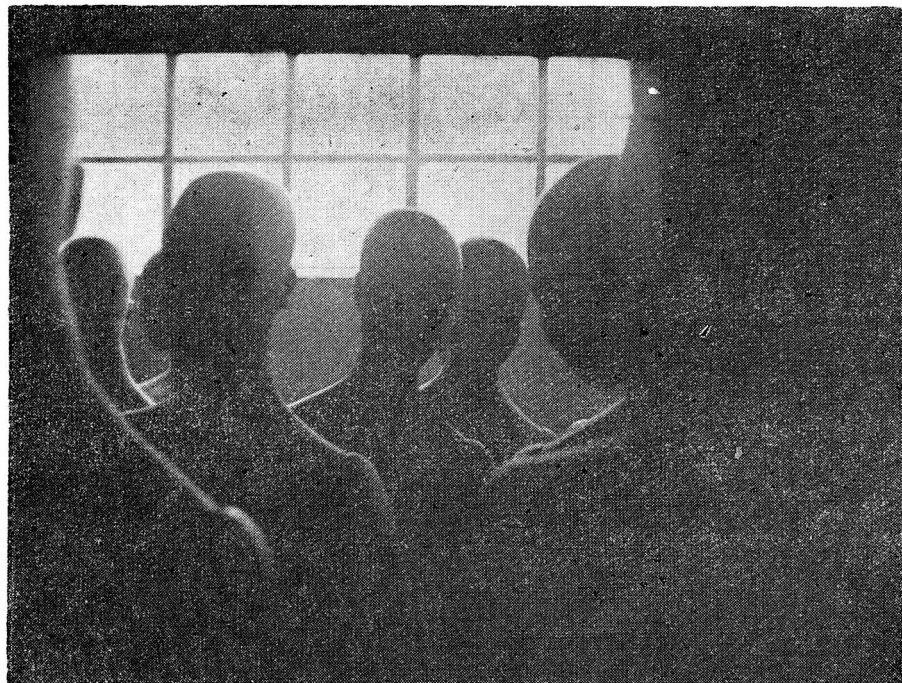
Jasne jest, że zdobywanie wiedzy w
sposób czynny; w rozmowie i polemice,
jest najskuteczniejsze. W szczegól-
ności gdy chodzi o problemy niejedno-
znaczne i szybko dezaktualizujące się.
Należy więc oczekiwać od organizacji
studenckiej kształtowania wiedzy spo-
łeczno-politycznej tą właśnie drogą.

Próba taka została podjęta pod ko-
niec ubiegłego roku akademickiego.
Przy ZW SZSP powołany został Klub
Wiedzy Współczesnej. Celem jego dzia-
łania było ukazanie możliwości stwo-
rzenia nowego modelu spotkania dysku-
syjnego. Modelu atrakcyjnego, a jed-
nocześnie skuteczniejszego w przeka-
zywaniu treści dydaktycznych. Możli-
wości te ukazywano nie na papierze,
ale poprzez realizację cyklu własnych
imprez. Gdy tylko było to możliwe,
wyświetlano na nich filmy, przeźrocza,
prezentowano eksponaty. Przed dysku-
sjami przygotowywano tezy, powielano
materiały informacyjne. Zadbano o na-
leżytą reklamę, co ciekawsze — o re-
klamę selektywną, koncentrując
się na informowaniu i zachęcaniu osób
szczególnie zainteresowanych: stude-
ntów Wydziału Lalkarskiego — z okazji
wizyty Ireny Jun, czy kierownika lite-
rackiego Teatru Studio J. Szajny, stu-
dentów PWSSP — z okazji wernisażu
plastyków amatorów etc. Nic też dziw-
nego, że tak przygotowane spotkania
cieszyły się przyzwoitą frekwencją.

KWW zakończył jednak swą działal-
ność, a praktycznych wniosków z jego
doświadczeń jakoś nikt z organizatorów
podobnych imprez nie wyciągnął.

To, że droga jest słuszna, potwier-
dziła ostatnio krakowska Ogólnopolska
Giełda Programów Klubowych Stu-
denckich. Spora część programów u-
biegających się o nagrody realizowana
była na zasadzie autentycznej, niereży-
serowanej rozmowy, uatrakcyjnionej
rozlicznymi pomysłami inscenizacyj-
nymi. A więc zamiast nasiadówki nt.
„Współczesne stosunki międzynaro-

Fot. M. STANIELEWICZ



we w aspekcie prawnym" impreza pt. „Rada Bezpieczeństwa”, gdzie świetnie bawiąc się w polityków, można nauczyć się bardzo wiele. Zamiast jałowego rozstrząsania, czy panafillerowskie „Szpilki” są do niczego, czy nie, krakowskie *Jaszczyry* zapraszają redakcję na autentyczny „Sąd nad prasą polską”, z adwokatami, prokuratorem, ławą przysięgłych — wybieranymi z grona słuchaczy. „Spotkanie z deontologią” białostockiego klubu *Co nie co* to atrakcyjne, starannie i rzetelnie przygotowane specjalistyczne forum dyskusyjne dla studentów określonej specjalności — w tym przypadku medyków. W wielości podobnych imprez zwrócił moją uwagę program klubu *Bratniak* z Poznania, który udowodnił, że spotkanie z tzw. „ciekawymi ludźmi” niekoniecznie musi zamykać się w serii pytań: „jak minął dzień?” i „co też pan(i) ostatnio stworzył(a)?”. Autor koncepcji, Andrzej Zybortowicz, zaprosił na tygodniową akcję klubową, poetę Edwarda Stachurę. Przez cztery wieczory prezentował on swoje dokonania artystyczne — poezję, prozę, tłumaczenia, śpiewał piosenki swoje i piosenki te, które uważał za sobie bliskie. Ostatniego wieczoru skonfrontowano koncepcję życia E. Stachury z „wiedzą instytucjonalną” — zawodowym psychologiem. Dokonano tego przy aktywnym uczestnictwie znających już artystyczne credo poety słuchaczy. Impreza nosiła nazwę „Droga Przez Czas”.

Sądzę, że jest to jedna z ciekawszych, ale na pewno jedna z bardzo wielu dróg wychowania i kształcenia studentów poprzez rozmowę, dyskusję, konfrontację wiedzy i poglądów. Wierzę, że obecny impas programowy i organizacyjny w tej dziedzinie jest przejściowy — bez przerwy wskazują się przecież nowe rozwiązania, rodzą się nowe inicjatywy. No i pewne jest, że

środowisko czeka na wartościowe propozycje w tej materii. Jedyne, czego chyba w tej chwili brakuje, to koordynacji wysiłków.

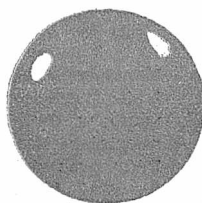
Komisje Szkoleń wszystkich szczepów, kluby studenckie, Studenckie Koła Nauk Społecznych pracują jakby osobno. Wspólne działanie, zarówno w sferze merytorycznej jak i organizatorskiej, powinno przynieść oczekiwane rezultaty. Dowodem tego może być choćby powodzenie Trybun Studenckich. Wrocławski Klub Wiedzy Współczesnej wiosny co prawda od razu nie uczyni, ale pozwala żywić uzasadnioną nadzieję, że długie, nocne studentów rozmowy już wkrótce prowadzone będą z większym sensem i pożytkiem dla nich samych.

Komisje szkoleń różnych szczepów, kluby studenckie, studenckie koła nauk politycznych i społecznych, pracują osobno. Nic dobrego z tego stanu rzeczy nie wynika, o czym wszyscy zainteresowani, a właściwie to już niestety nie zainteresowani, mieli okazję się przekonać. Czas chyba najwyższy stworzyć rozsądną, życiową koncepcję organizacji tej strony życia studentów. Natura nie znosi próżni. Raz zniechęceni, mogą przenieść swą aktywność na inne obszary, co byłoby stratą trudną do odrobienia. Przykłady pozytywne są, choćby z KWW lub krakowskiej gieldy. Potrzeba tylko chętnych, którzy nie boją się włożyć w to przedsięwzięcie dużo pracy. I wiedzą, po co to robią.

WŁODZIMIERZ KALICKI



KULTURA STUDENTÓW WROCŁAWSKICH



dokończenie ze str. 9

Propagowanie kultury wśród studentów i społeczeństwa

W latach 1945—1948 niektóre organizacje studenckie podjęły i prowadziły ożywioną akcję popularyzującą kulturę wśród studentów i mieszkańców Wrocławia. W związku z tym organizowały one zespołowe wycieczki dla swoich członków i młodzieży nieorganizowanej do kin, teatrów itp. Ponadto prowadziły też sprzedaż talonów kinowych i teatralnych.

Równocześnie studenci i społeczeństwo Wrocławia przyjęli gorąco i z żywym zainteresowaniem Szopkę Akademicką pt. „Wpływ przez Wrocław”, przedstawioną przez zespół J. Toruńskiego w 1946 r., różne składanki estradowe i sztuki. WTA grał komedię „Roztwór profesora Pytla” na scenie wrocławskiej i na scenach małych miasteczek Dolnego Śląska, a chóry studenckie brały udział w otwartych imprezach dla mieszkańców Wrocławia. Ożywioną działalność prowadził też zespół w składzie: Jerzy Michotek, Karol Trafikowski, Tadeusz Turczyński i inni. Zespół ten współpracując z Polskim Radiem opracował cykl audycji rozrywkowych pod wspólnym tytułem „Wrocławska karuzela”.

Z Polskim Radiem współpracował też Akademicki Chór Techniczny. Przygotował on pieśni do audycji słowno-muzycznej pt. „Z wiosennych dni”, a z okazji rocznicy śmierci St. Moniuszki wykonał „Pieśń wieczorną”, „Pieśń rycerską” i „Znasz li ten kraj”. W studio Polskiego Radia nagrał on także 10 kolęd.

Pierwsze świetlice i kluby studenckie

Z braku odpowiednio przygotowanych estrad pierwsze imprezy kulturalne studenci wrocławscy organizowali w różnych pomieszczeniach nierzadko do tego nieprzygotowanych np. w stołówkach. Braki lokalowe utrudniały również pracę organizacjom studenckim i dlatego prawie każda z nich starała się o pomieszczenie dla świetlicy.

Pierwsze świetlice studenckie we Wrocławiu powstały prawdopodobnie we wrześniu lub październiku 1945 r. Ruch świetlicowy nawiązywał wówczas do przedwojennych tradycji, był żywiołowy i dynamiczny. W świetlicach odbywały się zebrania, konferencje, imprezy kulturalne. Urządzano w nich też czytelnie i biblioteki.

Rola świetlic w życiu kulturalnym studentów wzrosła po zjednoczeniu ruchu młodzieżowego; władze ZAMP i ZMP wyznaczyły im ważną rolę w realizacji nowego programu kulturalnego i w upowszechnianiu kultury socjalistycznej.

Obok świetlic powstawały też kluby studenckie. Jeden z takich klubów powstał w 1948 r. z inicjatywy „Bratniaka” Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej. Miał on przyczynić się do ożywienia działalności kół naukowych i zespołów artystycznych. Z braku danych źródłowych trudno jest powiedzieć cokolwiek bliższego o jego działalności.

CDN.

EDMUND KUŚ



Wybory

25 IX 1977 Plenum Rady Uczelnianej SZSP przyjęło uchwałę wyborczą (IV Kadencja), w której określono tryb i harmonogram kampanii sprawozdawczo-wyborczej SZSP na Politechnice Wrocławskiej. Zgodnie z Uchwałą w trakcie Kampanii dokonano wyboru Rad wszystkich szczebli. Równocześnie dokonano wyboru delegatów na konferencję wyższego szczebla oraz kandydatur do ich władz.

Całość Kampanii koordynowała Uczelniana Komisja Wyborcza, której przewodniczącym byli Janusz Misiewicz (do 3 XI) i Roma Poniżnik (od 3 XI), funkcję ich zastępcy pełnił Michał Slaby.

Tydzień trwały wybory (10–18 X 77) w 239 Grupach Działania, w których wzięło udział 88,90% uprawnionych do głosowania. Następnie odbyły się wybory na szczeblu instytutowym. Wzięło w nich udział 79,50% uprawnionych. Nowo wybrany aktyw funkcyjny instytutów liczy obecnie 1.229 osób.

3 XI odbyła się Uczelniana Konferencja studentów pracujących i pracowników technicznych, w której udział wzięło 50 osób. Na Konferencji wybrano 5-osobową Radę Koordynacyjną Studentów Pracujących i Pracowników Technicznych. Przewodniczącym został Janusz Winter.

Sprawni przebieg kampanii wyborczej był zasługą Instytutowych Komisji Wyborczych, składających się głównie z byłych działaczy organizacyjnych, w tym i młodych pracowników nauki. Grono aktywu wyborczego liczyło 108 osób.

Na podst. „Sprawozdania UKW SZSP” opracował emes.

PLENUM KOMITETU KSZTAŁTOWANIA I OCHRONY ŚRODOWISKA

W dniach 5–6 XI 1977 r. odbyło się w Gdańsku plenum Komitetu Kształtowania i Ochrony Środowiska (KKiOS), w którym uczestniczyło około 60 osób; studentów i młodych pracowników naukowych — przedstawicieli środowisk akademickich z całego kraju. Reprezentowane były uczelnie techniczne, akademie rolnicze, ekonomiczne, wychowania fizycznego i uniwersytety. Środowisko wrocławskie reprezentowało 6 przedstawicieli (KKiOS przy Zarządzie Wojewódzkim SZSP we Wrocławiu). W czasie obrad dokonano oceny stanu nauczania z zakresu kształtowania i ochrony środowiska, oceny obowiązujących programów studiów na różnych uczelniach, wysunięto też propozycje zmian poszerzenia zakresu przedmiotu: ochrona środowiska, omawiano warunki zatrudnienia absolwentów oraz udział studentów ruchu naukowego w procesie kształcenia i wychowania środowiskowego.

Przedstawiciele KKiOS przy ZG SZSP przedstawili dotychczasowe osiągnięcia studenckiego ruchu naukowego w dziedzinie ochrony środowiska na przykładzie prowadzonych w ostatnim okresie akcji PÓLNOC oraz GMINA, w wyniku których wypracowano udoskonalone formy organizacyjne tej działalności.

Na sesji ogólnej nasi reprezentanci przedstawili aktualny stan i perspektywę rozwoju kształcenia kadr w dziedzinie ochrony środowiska w Instytucie Inżynierii Ochrony Środowiska Politechniki Wrocławskiej.

Uczestniczyli też aktywnie w pracach zespołu problemowego ŚRODOWISKO, W KTÓRYM ŻYJEMY, przedstawiając szereg propozycji dotyczących aspektów technicznych ochrony środowiska.

W wyniku obrad opracowano tezy i materiały do dyskusji na Forum Młodzieży Akademickiej O WYŻSZĄ AKTYWNOŚĆ MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ NA RZECZ KSZTAŁTOWANIA I OCHRONY ŚRODOWISKA W POLSCE (FOMA-77), które odbyło się w dniach 12–14 XII 1977 r. w Katowicach.



Problem uczestnictwa studentów I roku w życiu organizacji oraz technika prowadzenia dyskusji były głównymi tematami seminarium szkoleniowego Rad Instytutowych I-9 i I-18, które odbyło się w dniach 12–13 listopada ubr. w Sokolew.

Komisja Turystyki RU SZSP, Uczelniana Agencja BPiT Almaturowa oraz koło Turystyczne PWr w dniach 10–11 grudnia zorganizowały giełdę sprzętu turystycznego. Uczestnicy chwaliли sobie inicjatywę.

(nin)

PODZIĘKOWANIE

Na ręce Rektora PWr. kierownictwo Domu Małych Dzieci w Kątach Wrocławskich złożyło w imieniu podopiecznych dzieci oraz własnym serdeczne podziękowanie za „sympatyczne upominki przekazane przez młodzież studencką naszym małym wychowankom w ramach akcji *Uśmiech pod choinkę*”.

Ten piękny gest przyjmujemy ze szczególną wdzięcznością i uznaniem, w pełni doceniając chlubną inicjatywę młodych obywateli. Wizyta mieszkańców domów akademickich T-2 i T-3 w tutejszym zakładzie należy do nielicznych momentów, które stwarzają naszym podopiecznym możliwość przynajmniej chwilowego oderwania się od szarości i monotonii smutnego sierocego dzieciństwa (...)“



9 grudnia studenci wrocławskich uczelni wzięli udział w uroczystej akademii zorganizowanej we wrocławskiej Hali Ludowej z okazji przyjęcia w poczet członków i kandydatów PZPR. 20 legitymacji przypało w udziale studentom Politechniki.



Również 9 grudnia rozpoczęły się Dni Prasy organizowane przez redakcję obchodzącego swoje X-lecie biuletynu GRUNT, wydawanego przez RU SZSP Akademii Rolniczej, która też była organizatorem imprezy. Zakończenie obchodów uroczystym bale nastąpiło 12 grudnia ubr.



Tradycyjnie już w przedmiokojkową sobotę grupa mieszkańców DS T-8 odwiedziła Sanatorium Rehabilitacyjne w Czernej k.Kudowy. Mieszkające tam dzieci zostały obdarowane podarkami zakupionymi za zebrane przez mieszkańców pieniądze.



2 i 3 grudnia odbyło się we Wrocławiu spotkanie studenckich fotoreporterów. Obradowano w dwóch zespołach, omawiając konkurs Czerwonej Róży oraz dalszy rozwój studenckiej fotografii. Organizatorem był wrocławski SAF.



Sesja w Gliwicach

W dniach 18–19 listopada 1977 roku odbyła się w Gliwicach XVI Ogólnopolska Sesja Studenckich Kół Naukowych. Obrady odbywały się w 13 sekcjach tematycznych. W każdej przedstawiono ok. 10 referatów. Udział w sesji wzięli studenci wielu uczelni polskich, a także studenci zagraniczni, m.in. z Pragi.

Wśród wygłaszających referaty nie zabrakło studentów Politechniki Wrocławskiej. Wzięli oni udział w obradach 9 sekcji przedstawiając w sumie 15 referatów. Cała grupa Wrocławskiej Politechniki liczyła 26 osób. Reprezentowali oni instytuty: I-4, I-9, I-12, I-13_{CH}, I-15, I-16, I-20, I-23, I-24, I-25, I-27, I-28. Przedstawione przez studentów Politechniki Wrocławskiej referaty były wynikiem prac naukowo-badawczych prowadzonych w ramach kół SNS podczas obozów naukowych. Nasi studenci nie wrócili z Gliwic z pustymi rękami. W sekcji Chemia i Inżynieria Chemiczna I nagrodę zdobyła Iwona DERKACZ z I-13_{CH} za referat: „Karbonizacja roztworów glinianowych w kolumnie rusztowej z ruchomym wypełnieniem”. W tej samej sekcji II nagrodę za referat: „Synteza peptydów kwasów aminofosforowych” zdobył Witold SUBOTKOWSKI — I-4. III nagrodę otrzymali: Krzysztof GRZEGÓŁKA i Adam WANIK z I-20,

którzy w sekcji Energetyka i Gospodarka Ciepła wygłosili referat „Transport wielkości skalarnych w przepływach turbulentnych. Turbulentny płomień dyfuzyjny“. Otrzymaliśmy ponadto trzy wyróżnienia: Danuta PUDEŁKO z I-12, Tymoteusz JAROSZYŃSKI z I-15 oraz wspólnie Justyn STRZĘT-NICKI i Henryk SZUBER z I-28 i jedną nagrodę specjalną — grupa z I-27 w składzie: Barbara KOSZALKOWSKA, Elżbieta GODNIAK, Piotr WIECZOREK.

W sumie wypadliśmy nie najgorzej, choć mogło tych nagród być więcej. Już teraz zapraszamy do przygotowania referatów na podobne sesje.

ZARZĄD UCZELNIANY SNS

W czwartek, 24 XI 1977 r. o godz. 20,30 odbyła się Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza SNS. Na Konferencję przybyli: przewodniczący ZI SNS, kończący kadencję ZU SNS oraz zaproszeni goście: dyrektor Pionu ds. Kształcenia Kadry Naukowej — doc. Witold CHAREWICZ oraz z-ca dyr. ds. Kształcenia Kadry Naukowej — dr Paweł KAFARSKI. Pełniący obecnie funkcję przewodniczącego ZU SNS, mgr Janusz SZTAJER przedstawił krótkie sprawozdanie z całorocznej działalności ZU SNS w Politechnice Wrocławskiej. Następnie, prowadzący Konferencję — przewodniczący Komisji Nauki przy RU SZSP i jednocześnie na mocy statutu SNS, v-ce przewodniczący ZU SNS — Grzegorz SZEWCZYK przedstawił zebrany proponowane kandydatury członków ZU SNS (członkowie ZU SNS wybierani są na okres jednego roku). Po przeprowadzeniu głosowania i krótkiej przerwie, podczas której nowo wybrany ZU SNS podzielił między siebie funkcje, ogłoszono oficjalnie skład ZU SNS na rok 1977/78.

P.o Przewodniczącego ZU SNS — mgr J. SZTAJER (od stycznia funkcję tę obejmuje, urlopowany w tej chwili, mgr M. BOGACKI), v-ce przewodniczący: Grzegorz SZEWCZYK, Paweł PRÓCHNIEWICZ, Tadeusz OLMA, Sekretarz: Barbara RYŃKIEWICZ. Członkowie: Barbara KOSZALKOWSKA, Danuta PUDEŁKO, Krzysztof GRZEGÓŁKA, Jan KADZIELA, Wojciech KABAROWSKI, Waldemar KARWOWSKI oraz pełniący funkcję koordynatora do współpracy ZU SNS z RU SZSP mgr M. WILAND.

W imieniu nowo wybranych ZU SNS zabrał głos Marek WILAND, przedstawiając pokrótce plan pracy ZU SNS na bieżący rok oraz rolę SNS w nowym modelu nauczania w PWR.

Wystąpienie to było kanwą do dyskusji nad rolą SNS w naszej Uczelni: Chodzi nam o to, aby nasze stowarzyszenie wspólnie z SZSP oddziaływało na szerokie masy studentów i jednocześnie zrzeszało tych studentów, dla których praca naukowa jest pasją i przyjemnością. W nowym modelu nauczania SNS powinno również wskazać studentom możliwości pracy badawczo-naukowej, ułatwić jej podjęcie i kontynuowanie.

O SNS-ie jako organizacji entuzjastów i hobbystów nauki o jej szczególnej roli w chwili obecnej, w chwili realizacji nowego modelu dydaktycznego i programu TALENT mówił dr P. KAFARSKI. Podkreślił on też konieczność pomocy i wzajemnej współpracy SNS-u z Uczelnią. Przypisał Stowarzyszeniu naszeemu bardzo dużą rolę w typowaniu studentów do programu TALENT oraz w dostarczaniu Uczelni informacji o przebiegu kontrolowanej pracy własnej oraz pracy badawczo-naukowej studentów. Zapewnił jednocześnie, że studencki ruch naukowy otrzyma możliwie maksymalną pomoc Uczelni.

mgr inż. JANUSZ SZTAJER

Koło Emerytów

W listopadzie 1975 roku przy Radzie Zakładowej ZNP Politechniki Wrocławskiej powstało Koło Emerytów i Rencistów. Jego zarząd przewidywał nawiązanie kontaktów z byłymi pracownikami, utrzymywanie więzi z przechodzącymi na emeryturę. Liczba tych osób ogółem wynosi obecnie ponad 350. Do wszystkich emerytów i rencistów wysłano ankietę, która pomogła zorientować się w ich potrzebach i zainteresowaniach. Zorganizowano też kilka wspólnych spotkań przy kawie.

Ostatnie uroczyste spotkanie emerytów odbyło się 12 października ubr. z okazji Dnia Nauczyciela. Wzięło w nim udział ok. 150 osób. Istnieje jednak zapotrzebowanie na spotkania w mniejszych, bardziej kameralnych zespołach. Organizacją tych spotkań zajmą się wyznaczeni przez RO łącznicy.

Pierwsze spotkanie dla swoich emerytów i rencistów zorganizowała RO Zespołu Domów Studenckich w Klubie T-8 „Fosik“ dnia 25 listopada br.

Grupa studentów serdecznie włączyła się do całej imprezy. Wystąpili w programie artystycznym, w którym szczególnie występ Akademickiego Chóru Górniczego pod dyrekcją Piotra Ferencowicza zasługiwał na pochwałę. Wszyscy zebrani z wielką wdzięcznością i uznaniem podkreślali miły nastrój jaki wytworzyli organizatorzy i studenci.

Dalsze spotkania z grupami emerytów — „Mikołajkowe“, w Klubie Pracowników w bud. A-1 zorganizowała w pierwszych dniach grudnia ubr. RO Administracji Centralnej oraz RO Instytutów Chemicznych I-3, I-4, I-5, I-26, I-27.

MARTA CYBULSKA

Lista studentów ukaranych przez Komisję Dyscyplinarną i JM Rektora Politechniki Wrocławskiej w okresie od 1 października do 15 listopada 1977 r.

- Piotr Madloch — stud. III roku Wydz. Mechanicznego Filii PWR w Kłodzku — nie powrócił do kraju z zagranicy — kara skreślenia z listy studentów.
- Tadeusz Fuchs — stud. II roku Wydz. Budownictwa Filii PWR w Kłodzku — nie powrócił do kraju z zagranicy — kara skreślenia z listy studentów.
- Mariusz Mulak — stud. II roku Wydz. Architektury — kara zawieszenia w prawach studenta na 1 rok za próbę oszustwa na kolokwium.
- Zenon Blajet — stud. III roku Wydz. Budownictwa — kara nagany z ostrzeżeniem wydalenia z Uczelni za zatrzymanie w Izbie Wytrzeźwień.
- Grzegorz Michalski — stud. II roku Wydz. Chemii — kara nagany z ostrzeżeniem wydalenia z Uczelni za powtórne naruszenie regulaminu DS.
- Andrzej Ogórek — stud. I roku Wydz. Elektroniki — kara nagany z ostrzeżeniem wydalenia z Uczelni za korzystanie z krótkofalówki w czasie składania kolokwium.
- Włodzimierz Owczarek — stud. III roku Wydz. Elektrycznego — kara nagany z ostrzeżeniem wydalenia z Uczelni za zatrzymanie w Izbie Wytrzeźwień.
- Zbigniew Zawisłak — stud. III roku Wydz. Mechaniczno-Energetycznego — kara nagany z ostrzeżeniem wydalenia z Uczelni za wywołanie w strefie granicznej incydentu z żołnierzami WOP-u.
- Sylwester Buczyło — stud. V roku Wydz. Mechaniczno-Energ. — kara nagany z ostrzeżeniem wydalenia z Uczelni za dwukrotne zatrzymanie w Izbie Wytrzeźwień.
- Mirosław Jaworski — stud. IV roku Wydz. Informatyki i Zarządzania — kara nagany z ostrzeżeniem wydalenia z Uczelni za naganne zachowanie się na terenie DS.
- Dariusz Kuczyński — stud. I roku Wydz. Elektrycznego Filii PWR w Jeleniej Górze — kara nagany z ostrzeżeniem wydalenia z Uczelni za naganne zachowanie się na terenie DS.
- Sławomir Motylski — stud. II roku Wydz. Chemii — kara nagany za powtórne naruszenie regulaminu DS.
- Roman Chojnacki — stud. II roku Wydz. Elektroniki — kara nagany za zatrzymanie w Izbie Wytrzeźwień.
- Józef Stepień — stud. V roku Wydz. Elektroniki — kara nagany za przekroczenie przepisów celno-dewizowych.
- Janusz Ałtachowicz — stud. V roku Wydz. Mechaniczno-Energetycznego — kara nagany za przekroczenie przepisów celno-dewizowych.
- Janusz Marek — stud. IV roku Wydz. Mechaniczno-Energetyczn. — kara nagany za zatrzymanie w Izbie Wytrzeźwień.
- Wacław Trubisz — stud. IV roku Wydz. Mechanicznego — kara nagany z naganne zachowanie się w miejscu publicznym.
- Krzysztof Szubtarski — stud. I roku Wydz. Mechanicznego (SW) — kara nagany za zatrzymanie w Izbie Wytrzeźwień.
- Marek Budzowski — stud. I roku Wydz. Elektrycznego (SW) — kara nagany za zatrzymanie w Izbie Wytrzeźwień.
- Marek Młodkowski — stud. I roku Wydz. Elektrycznego Filii PWR w Jeleniej Górze — kara nagany za naganne zachowanie się na terenie DS.
- Stanisław Oleś — stud. I roku Wydz. Elektrycznego Filii PWR w Jeleniej Górze — kara nagany za naganne zachowanie się na terenie DS.
- Jan Stepień — stud. V roku Wydz. Inż. Sanitarnej — kara upomnienia za opóźniony powrót z praktyki zagranicznej.
- Michał Sawzdargo — stud. IV roku Wydz. Elektrycznego — kara upomnienia za nieusprawiedliwienie swojej nieobecności na zajęciach dydaktycznych.

Sprostowanie

W numerze 2/85 „Sigmę“ str. 14 w informacji dotyczącej spotkania studentów Wydziału Mechanicznego z przedstawicielami FMB Fadroma błędnie złożono nazwisko opiekuna praktyki — dra P. WRZECIO-NIARZA. Przepraszamy.

3 grudnia 1977 r. odbyła się Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza Pionu Sportu Masowego MKS AZS Politechnika Wrocławska. Konferencję poprzedziła akcja sprawozdawczo-wyborcza w klubach instytutowych. Na konferencji przedstawiono referat ustępujących władz, wręczono nagrody i wyróżnienia za działalność w czasie minionej kadencji, odbyła się dyskusja i wybory nowego Zarządu Pionu. Wiceprezesem MKS AZS ds. Sportu Masowego został Zbigniew Rak — student V roku Wydziału Budownictwa Lądowego.

Nowa impreza, mająca szansę na kontynuację w latach przyszłych, tym cenniejsza, że jako jedna z niewielu dotyczy wyłącznie dziewcząt — Turniej Mikołajkowy w Siatkówce Kobiet. Startowały trzy drużyny, wygrała reprezentacja I-1. Brawa dla organizatorów z I-6 i prezesa tego klubu, który ufundował główną nagrodę — tort mikołajkowy.

4 XII na basenie przy ul. Racławickiej odbył się turniej pływacki pięciu politechnik, organizowany przez Studium SiWF i MKS AZS Politechnika. Wyniki: Politechnika Wrocławska 156 punktów, Politechnika Gdańska 150 pkt., Politechnika Krakowska 127 pkt., Politechnika Gliwicka 90 pkt., Politechnika Poznańska 27 pkt.

Nasi najlepsi reprezentanci: Arleta Rakowska (I m. na 100 m. st. dowolnym), Jolanta Dawidowska (II m. na 100 m. st. dowolnym), Michał Piasecki (II m. na 100 m. st. dowolnym), Elżbieta Zasada (II m. st. grzbietowym), Jacek Michalec (II m. na 100 m. delfinem), sztafeta 4x50 m. st. zmiennym kobiet — II m. i sztafeta 4x50 st. zmiennym mężczyzn — I m.

Złoto i brąz zdobyli szpadziści AZS Politechnika Wrocław na zakończonych ostatnio Mistrzostwach Polski. Pierwszy przypadł w udziale zespołowi w składzie Ciszek, Swornowski, Strzałka,

Lis; natomiast drugi drużynie rezerwowej w składzie: Żuchowski, Kwaśniewski, Aniśko, Augustowski. W punktacji drużynowej na wszystkie bronie AZS zajął piąte miejsce.

LATA TŁUSTE

STARE PRZYSŁOWIE MÓWI, ŻE po latach chudych przychodzą tłuście i na odwrót. Podobnie jest chyba z sekcją piłki ręcznej mężczyzn MKS AZS Politechniki Wrocławskiej. W latach 1956—59 sekcja występowała w I lidze, osiągając tym samym wyżyny swoich sukcesów. Grali w niej wówczas tacy doskonali zawodnicy jak Hyla czy Fraszczak. Stanowili oni trzon zespołu, nadawali ton grze — byli liderami. I właśnie ich odejście było m.in. przyczyną spadku z I ligi. Gdy jeszcze dodamy do tego kłopoty związane z brakiem nowych, dobrze wyszkolonych zawodników, mamy pełny obraz sytuacji tamtych dni. Co prawda, zespół wzbogacony w nowe kadry w 1963 roku awansował znowu do I ligi, ale utrzymał się w niej tylko jeden sezon.

Konieczna była daleko idąca reorganizacja — nie tylko chodzi o nowe

kadry, ale i sam sposób gry. Od 1972 roku drużyna weszła w skład Zarządu Środowiskowego Politechniki Wrocławskiej. Wiązało się to z otrzymaniem daleko idącej pomocy ze strony Uczelni. Trenerem sekcji został wówczas mgr Karpiński. Jego założeniem było utworzenie nowego, silnego zespołu z perspektywą wejścia do drugiej ligi. Bardzo ważne było stworzenie właściwej atmosfery w drużynie — atmosfery współpracy i koleżeństwa. Piłka ręczna jest bowiem grą zespołową i tylko w takich warunkach możliwe jest osiągnięcie sukcesu.

Czy ten cel został osiągnięty? Można powiedzieć, że tak. Sekcję w dwóch ostatnich latach od awansu do II ligi dzielił tylko jeden punkt! W tym roku pierwszą rundę rozgrywek mamy już za sobą. W obecnym systemie, po reorganizacji, grupa, w której gra sekcja Politechniki obejmuje 11 województw — z każdego po jednym zespole. Pięć z nich grało już w II lidze. Mimo tak silnej obsady wrocławianie nie przegrali ani jednego meczu, a je-

den tylko zremisowali. Aby właściwie ocenić ten sukces, należy dodać, że okręg katowicki i opolski, które wchodziły w skład grupy, w której gra Wrocław dominują od dawna swoim poziomem sportowym. Ale o przejściu do II ligi zadecyduje punktacja końcowa, po drugiej rundzie rozgrywek, która odbędzie się na początku maja.

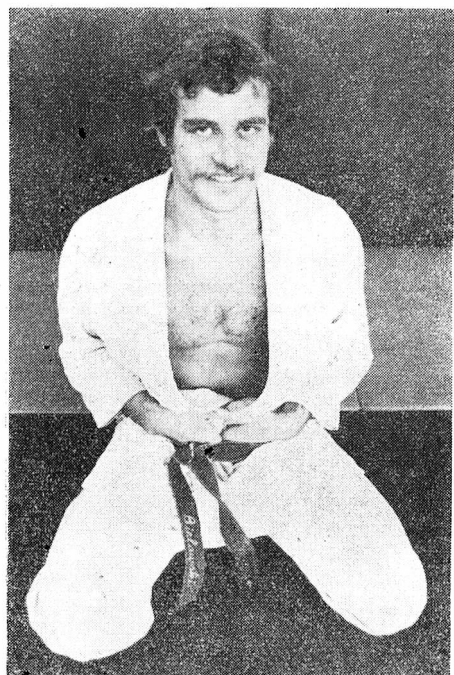
Jak dotychczas, wrocławianie znajdują się na jak najlepszej drodze do sukcesu. Są liderami grupy i mają w niej chyba najlepszą obronę.

Od sierpnia trenerem zespołu jest mgr Marcin Pawłowicz — absolwent AWF, trener i zawodnik. Kierownictwo sekcji objął mgr Zbigniew Sadurski, który od wielu lat był związany z drużyną. Za największą bolączkę uznał on brak ciągłości szkolenia zawodników. Chodzi o zapewnienie stałego dopływu młodych, dobrze wyszkolonych kadr.

Wierzmy, że plany kierownictwa sekcji zostaną zrealizowane i czekamy na II-ligowy zespół!

BOGNA KRÓL

judoka



Na indywidualnych mistrzostwach Polski w Bydgoszczy zdobył dwa złote medale: w wadze średniej i w kategorii „open” (tu walka toczyła się o tytuł absolutnego mistrza kraju). Wcześniej razem z kolegami z AZS-AWF Sandokaj Wrocław wywalczył drużynowo mistrzostwo Polski. Jego udziałem stały się w tym roku wszystkie krajowe tytuły mistrzowskie w judo. Te trzy medale uzupełnią pokaźną już dzisiaj kolekcję medali i pucharów: cztery złote, dwa srebrne i dwa brązowe w kraju, zdobyte indywidualnie w ciągu pięciu lat startów. Do tego dochodzi jeszcze trzykrotny „międzynarodowy” brąz: na Akademickich Mistrzostwach Świata i na Mistrzostwach Europy — drużynowo i indywidualnie. No i do kompletu — kilka wartościowych wyników w bardziej znanych turniejach — w Paryżu, Tbilisi, Warszawie i otwartych mistrzostwach RFN.

— Jak na początek to chyba nieźle?

— Tak, ale kariera judoki jest bardzo długa i jeszcze w zaawansowanym wieku można zdobywać medale. Przykładem może być mój klubowy kolega A. Bęś, mistrz z Bydgoszczy, najstarszy zawodnik w klubie. Mam nadzieję, że największe sukcesy są jeszcze przede mną.

— Tegoroczne Mistrzostwa Świata mające się odbyć w Hiszpanii nie doszły do skutku. Jesteś najlepszy w kraju, ale jakbyś wypadł w konfrontacji z czołową krajową?

— Bardzo żałuję, że ta okazja przeszła mi koła nosa. W czasie przygotowań do mistrzostw trenowaliśmy w ośrodku w Cetniewie. Czuliśmy się bardzo dobrze i mimo przerwania treningów, gdy było już wiadomo, że zostajemy w kraju, w Bydgoszczy raczej nie miałem kłopotów z rywalami. Szczególnie mówiąc, sporo sobie obiecywałem po starcie w Barcelonie.

— Ilu lat potrzebowałeś na zdobycie prymatu w kraju?

— Moja kariera jest bardzo nietypowa. Treningi rozpocząłem siedem lat temu. Rozpocząłem z lepszych pozycji niż moi koledzy, bo byłem bardzo do-

brze przygotowany fizycznie. Jedenaście lat uprawiałem pływanie, całe wakacje spędzałem nad morzem jako ratownik, dwa lata ćwiczyłem w klubie koszykówkę. To mi bardzo pomogło. Zresztą jeszcze w tym roku okazałem się najlepszym pływakiem na Politechnice w stylu grzbietowym. Pierwszy medal na Mistrzostwach Polski przypadł mi już po trzech latach treningu, ale to był raczej szczęśliwy przypadek. Na dobre liczę się w naszej czołówce od trzech lat.

— *Poznałeś różne dyscypliny sportu. Dlaczego w końcu postawiłeś na judo?*

— Wiele lat zabrał mi trening pływacki — szalenie monotony, nieatrakcyjny i pożerający codziennie wiele godzin. I co najważniejsze, nie odniosłem poważniejszych sukcesów. W klasie naturalnej podjąłem więc decyzję zerwania z pływaniem. Bez sportu nie potrafiłem jednak długo wytrzymać. Judo było wówczas jedyną możliwością. Byłem już za stary na rozpoczynanie treningów w innej dyscyplinie, rzecz jasna — z szansą na dorównanie co najmniej krajowej czołówce. Poza tym pragnąłem uprawiać sport, w którym treningi są urozmaicone i przez to atrakcyjne i który jednocześnie dawałby pewność osiągnięcia liczących się wyników. To wszystko znalazłem w judo.

— *Myślałeś wtedy tylko o sukcesach w kraju?*

— Nie! Pierwsze słowa, z którymi zwróciłem się do trenera Jaskólskiego z AWF-u, koledzy pamiętają do dziś — „Interesuje mnie złoty medal na Mistrzostwach Świata i Olimpiadzie. Chciałbym u was ćwiczyć”. Pod tym względem byłem wyjątkiem. Na treningi przychodzą najczęściej ludzie z kompleksami lub pragnący sztuki walki na macie zdyskontować na ulicy. Zostają koledzy wiążący z judo ambicje tylko sportowe.

— *No cóż, zostają, jeśli nie mają kłopotów z nauką...*

— Przesada. Wszyscy zawodnicy AZS-AWF Sandokaj uczą się. Są wśród nas studenci, uczniowie, są także tacy, którzy dopiero przygotowują się do egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie. Bywało, że niektórzy mieli kłopoty z nauką: zmieniali uczelnie, tracili lata. Wszyscy jednak do nauki powrócili. Z dobrym skutkiem.

— W judo na pewno można połączyć studia z intensywnym treningiem. Trening jest wyczerpujący, ale stosunkowo krótki. Zawodnik musi być tak wszechstronnie rozwinięty fizycznie, że praktycznie każda forma wysiłku przydaje się, procentuje. Pływanie, koszykówka, piłka nożna, tenis, narty, słowem — wszystko. Ćwiczę w zasadzie to, na co mam ochotę. Jedynie przed bardzo poważnymi imprezami międzynarodowymi organizowane są centralne obozy szkoleniowe dla kadrowiczów. Reszta to praca w klubie, czyli w moim przypadku praktycznie samodzielna. Początki były trochę trudne. Na pierwszych trzech latach studiów oficjalnie nie zgodziłem się na swój udział w jakichkolwiek obozach i zgrupowaniach. Ale samych wyjazdów na zawody było tyle, że nie mogłem studiować tak systematycznie, jak moi koledzy. Uważam, że w takiej sytuacji wszystko zależy od grupy studenckiej. Ja kolegów miałem wspaniałych. O-

trzymywałem od nich notatki i wszystkie potrzebne pomoce naukowe. Gdy tylko sam miałem trochę wolnego czasu, starałem się zrobić coś dla nich. O indywidualnym trybie studiów nie myślałem. To raczej utrudnienie niż rzeczywista pomoc. W grupie łatwiej można się przemknąć w okresie zwiększonego reżimu treningowego. Na starszych latach było już znacznie łatwiej. W instytucie jest intymniejszy kontakt z naukowcami, łatwiej zdobyć materiały naukowe czy przełożyć termin kolokwium lub egzaminu. W instytucie o mojej sytuacji wiedzano i starano mi się w ramach przepisów pomagać.

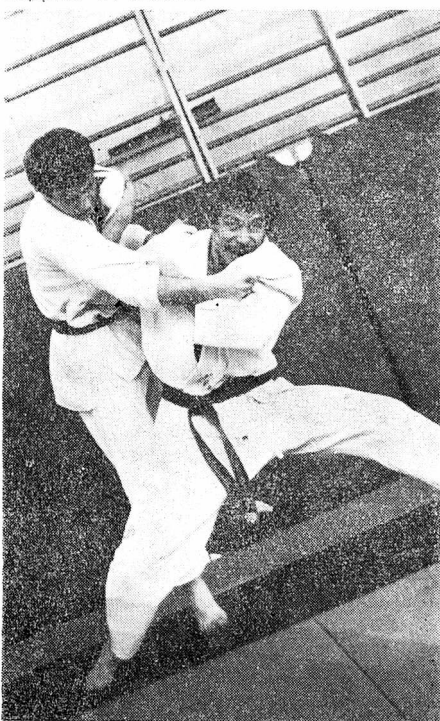
— *I nigdy nie zwątpiłeś w sens tych wysiłków? Zawsze dawałeś sobie radę?*

— Na początku studiów jest zawsze najciężaj. Ja miałem prostą regułę. Gdy były kłopoty na uczelni — likwidowałem je kosztem czasu dla sportu. Teraz widzę, że na pierwszych dwóch latach to było jedyne wyjście. Ale muszę przyznać, bywały chwile załamania. Miałem wtedy zajęcia z prof. Mariannem Suskim, który w jednej z rozmów ostrzegł mnie przed karierą sportowca wyczynowego. W czasach jego studiów i sukcesów szermierczych wystarczyły dwa-trzy treningi w tygodniu. Już wtedy, wspomniał, trudno było pogodzić naukę z wyczynem. A dziś, kiedy wymagania w obu dyscyplinach tak bardzo poszły w górę, nie ma już praktycznie możliwości pogodzenia ich ze sobą. Albo wiedza inżynierska i rekreacja, albo wyczyn i koniec ze studiami.

— *Częściej chyba dyplom bez pokrycia w umiejętnościach?*

— Tak, tego też bardzo się obawiałem. Zresztą chyba właśnie dzięki tej obawie dałem sobie w ogóle na początku radę: po prostu starałem się wiedzieć więcej niż na przysłowiową trójkę. Ta poprawka ratowała mnie w najmniej oczekiwanych okolicznościach. Sukcesy w sporcie w końcu przyszły, a wiadomości mam nie mniej niż wielu moich kolegów.

Zdjęcia: W. RYMKO



— *Kończysz pisanie pracy magisterskiej, jesteś elektronikiem, judo znasz od podszewki. Jacek Gmoch będąc też elektronikiem i czynnym piłkarzem wyrosł na narodowego teoretyka futbolu. Czy nigdy nie myślałeś o podobnej przygodzie w judo?*

— Proponowano mi prace w charakterze obsługującego elektroniczne urządzenia pomiarowe na wrocławskim AWF-ie. Odrzuciłem tę możliwość, bo uważam, że cała ta koncepcja jest bez sensu. Cały smak judo polega na jego pewnym niedookreśleniu, na niemożności zmierzenia go i opisania. Wiadomo jak określić interesujące parametry w treningu ciężarowca, i informację tę wykorzystać do bicia rekordu, wiadomo jak zmienić technikę pływaka, by osiągnął wymierny w sekundach postęp. W judo jest to w zasadzie niemożliwe. Zbyt wiele niemierzalnych czynników odgrywa tu rolę, Choćby z dziedziny psychologii.

— *To przecież nie metafizyka. Wystarczy zatrudnić psychologa.*

— Ba! Była przeprowadzana przez Centralną Przychodnię Sportowo-Lekarską cała seria badań nad kadrą. Trwała cztery lata. Przez ten czas wypełnialiśmy zabawne i trochę dziecinne ankiety, pobierano nam krew i kazano robić pompki. Wyników, wiem to na pewno, nie wykorzystano.

— *Choć niewykluczone, że zrobiono przy okazji doktorat, lub nawet dwa. I mimo to są sukcesy?*

— No, coś się przecież w organizacji sportu zmienia. Zresztą samemu można się naprawdę wiele nauczyć. Najbardziej przydatne są doświadczenia kolegów, potem trenera. Ale tylko na treningu. Na macie trzeba liczyć tylko na siebie. To znaczy na to, co się umie i jakim się po prostu jest. To nie jest piłka nożna. W judo nie można układać planów walki. To prawda, że wszystkich groźniejszych przeciwników w kraju i Europie znam — ich ulubione chwytły, słabe strony, psychikę. Tu przydaje się trener i to, co się modnie nazywa bankiem informacji. Ale walczy się przecież samemu. A szablony, z góry do końca omówiane zachowanie na macie, to prawie pewna przegrana.

— *Wnioskować by można z tego, że polscy judocy trenują na bakier z wiedzą sportowo-medyczną. Chyba jest to wyjątek wśród ścisłej czołówki światowej tego sportu?*

— To nie jest dokładnie tak. Zaniedbania swoją drogą, ale my mamy właśnie taki styl treningów i walki. W tym sensie rzeczywiście jesteśmy jakimś wyjątkiem. Ale już prędzej jesteśmy nietypowi ze względu na zaplecze. Do ścisłej światowej czołówki należy oprócz Polski: Japonia, ZSRR, Francja i NRD. Japonia — wiadomo, sport narodowy, kolebka judo. Mekka wszystkich zawodników. Do dobrego tonu w światowej czołówce należą treningi w Japonii. Co ciekawsze, tamtejsze najsilniejsze ekipy to drużyny akademickie. Podczas mojego pobytu w Tokio podziwiałem Kodokan — salę, gdzie mata ma wymiary 100 × 50 m. Tam się po prostu przychodzi, ubiera kimono i walczy. Podobnie jest we Francji, gdzie judo to niemal styl życia. Setki, tysiące szkół prywatnych,

specjalistyczne pisma. Sława czołowych judoków większa jest od sławy gwiazd piłkarskich. W Związku Radzieckim baza jest równie imponująca i w dodatku z ogromnymi tradycjami: kilka narodów uprawia sambo, sport bardzo do judo podobny. Jak jest w NRD, łatwo się domyślić. Zawodników jest niewielu, ale selekcja i naukowe metody treningu dają w efekcie przeciwników przede wszystkim dobrze przygotowanych siłowo. Bywa, że jest to argument decydujący.

Dla mnie sport to przede wszystkim przyjemność, i dlatego nasz styl całkowicie mi odpowiada. Znam swoje możliwości i świadomie mogę się przygotowywać do startów. Sam za siebie odpowiadam. Za swoje sukcesy także.

— Wróćmy jeszcze do spraw uczelni. Zdecydowałaś się na studia doktoranckie w Politechnice. Nagle obudzona pasja naukowa, czy po prostu możliwość wygospodarowania jeszcze większej ilości czasu dla sportu?

— Moje liczne wyjazdy spowodowały, że nie zdążyłem w normalnym terminie napisać pracy dyplomowej i dopiero teraz ją kończę. Jej temat okazał się bardzo interesujący, i właśnie w podobnej problematyce zamierzam kontynuować badania. A co do czasu wolnego, to też prawda, chociaż w przypadku pracy naukowej można mówić raczej o możliwości lepszego gospodarowania własnym czasem.

— Judo zepchnąłeś na pozycję hobby. Nie chciałbyś poprobować pracy jako trener? Mówiłeś, że sporo potrafisz już nauczyć mniej doświadczonych kolegów. Może więc jednak kimono zamiast garnituru?

— Naprawdę nie wiem co będę robił za dwa-trzy lata. Być może wszystko się zmieni. Ale trener, to specjalność raczej nie dla mnie. Zbyt niewdzięczna praca. W ciągu wielu lat wychowywać grupę sportowców i najczęściej osobistych przyjaciół, i patrzeć, jak nagle się to wszystko rozpada, bo przychodzą nowi, młodszy? To wyjątkowo ciężkie i przykre. Ale faktem jest, iż od pewnego czasu pomagam młodszemu kolegom i obserwowanie ich postępów sprawia mi sporą przyjemność.

— Czy z perspektywy lat równolegle prowadzonych studiów i kariery zawodniczej zdecydowałbyś się na ten sam wariant? Może łatwiejszy kierunek studiów?

— A dlaczego? Skoro pragnę pracować w tej dziedzinie, to uważam, że wybór nie był chyby. Czasu przeznaczonego na sport też nie żałuję. Życia osobistego i towarzyskiego bynajmniej nie zaniedbywałem. Zobaczyłem za to kawał świata, poznałem masę ludzi i przede wszystkim — nauczyłem się żyć i pracować intensywnie. Studia kończą tysiące, liczy się zaś nie tylko to, że jest się magistrem. Od tytułu ważniejsze są rzeczywiste dokonania. Dla mnie także i to, czego zdolało się dokonać poza pracą zawodową. Inżynier nie kończy się w biurze czy zakładzie produkcyjnym.

Rozmawiał:

WŁODZIMIERZ KALICKI



STUDENCKA AKCJA Chełm80

MINAŁ JUŻ DRUGI ROK Studenckiej Akcji „Chełm 80”. Jest to jedno z największych przedsięwzięć SZSP, które ma wykazać zaangażowanie studentów w sprawy kraju i ich postawę społeczną, które ma zaprezentować kulturę studencką i osiągnięcia studenckie na forum społecznym. Do Chełma przyjeżdżali podczas wakacji studenci z wielu uczelni z całej Polski. Przyjeżdżali, by swą pracą pomóc w realizacji programu rozwoju województwa chełmskiego, zaprezentować siebie samych, a także interesująco i pożytecznie spędzić czas wakacyjny.

Do Chełma są wysyłani ludzie najlepsi z najlepszych, oni bowiem są reprezentacją uczelni, dają swą pracę i postawą społeczną świadectwo środowisku uczelnianemu.

To, jak się zaprezentuje hufiec na Akcji, w dużej mierze zależy od jego komendanta. Rozmawiam z panią Anną NOSEK, laureatką I nagrody w Ogólnopolskim Współzawodnictwie Studenckich Hufców Pracy, komendantem Hufca Politechniki Wrocławskiej, który brał udział w Akcji „Chełm 80” we wrześniu ubr.

Anna Nosek jest absolwentką Wydziału Budownictwa Lądowego naszej uczelni i obecnie pracuje na stanowisku asystenta w Instytucie Organizacji i Zarządzania. Tego lata, we wrześniu, była komendantką hufca S.P.R., składającego się ze studentów roku zerowego Informatyki i Zarządzania (28), Budownictwa Lądowego i Inżynierii Sanitarnej (2) oraz Elek.roniki (z-ca komendanta).

Przez cały okres studiów była działaczem studenckim i nadal pracuje społecznie. Wkrótce znalazła się na jednym z pierwszych miejsc listy kandydatów na komendantów J RU powierzyła jej tę odpowiedzialną funkcję. Było to jej pierwsze zetknięcie z SHP.

w roli komendanta. Pani Anna podkreśla teraz bardzo dobrą organizację i przygotowanie Akcji przez Uczelniany Sztab Akcji i Uczelnianą Komisję d/s Praktyk Studenckich, która opracowała specjalny program działalności Hufca, pozwalający mu osiągać jak najlepsze efekty produkcyjne i pozaprodukcyjne.

— Podśmiewali się ze mnie — wspomina p. Anna — że taszczyć ze sobą wielki plik materiałów na temat Akcji i pilnie je studiuję. Ale to mi bardzo pomogło w pracy z moimi chłopcami. Jest dumna ze „swoich chłopców” jak ich określa, i twierdzi, że ta praktyka była wspaniałą okazją i dla nich, i dla niej, aby wspólnie zdziałać coś naprawdę dobrego, aby się poznać i pomagać sobie wzajemnie.

Praktyka studencka na Akcji „Chełm” jest szczególnie korzystna dla studentów roku zerowego — mogą oni poznać swe przyszłe środowisko, nawiązać pierwsze kontakty, dowiedzieć się wiele o tym, jak będą wyglądać studia.

— Przyjeżdżają zupełnie zieloni, surowi — mówi p. Anna — niektórzy od razu czują się jak w domu, ale niektórzy są zagubieni, nieśmiali, nie wiedzą co ze sobą zrobić... Trzeba im pomóc, być z nimi cały czas, w pracy, i poza nią. Zadbać o to, by mieli pracę ciekawą i dobrze płatną (to też się przecież liczy), by w tej pracy mieli dobre warunki.

— Musiałam się wyklócać i walczyć o wszystko: i o tę pracę przy betonowaniu, o ubrania robocze, o wodę mineralną... Sprawy czysto robocze należały już później do mego zastępcy. Moją domeną była działalność pozaprodukcyjna — a więc społeczna, kulturalna, no i praca wychowawcza z hufcem.

W czasie Akcji „Chełm 80” wykonano wiele prac społecznych na rzecz miasta Chełma i województwa chełmskiego. Do przodujących w tej dziedzinie należy hufiec wrocławski. Już w pierwszą niedzielę po przyjeździe hufiec zgłosił się do akcji „Każdy kłós na wagę złota” i przepracował cały dzień na polach PGR.

— Opiekowaliśmy się również Domami Dziecka nr 1 i 2 w Chełmie — mówi p. Anna. — Hufiec wykonywał prace w samym domu i w jego okolicy, jednak najważniejszą i najmielszą była

praca z dziećmi. Bawiliśmy się z nimi, urządzaliśmy wspólne imprezy, ze zbiorów kupowaliśmy zabawki, Starsze dzieci zabieraliśmy na imprezy studenckie, dla młodszych urządzaliśmy m.in. „kinderbal” z prezentami... To było naprawdę wzruszające, jak żegnały nas te dzieci na apelu pożegnalnym.

Na Akcji zadbano również o czas wolny studentów. Organizowano występy grup twórczych, spotkania z ciekawymi ludźmi, rajdy, wycieczki. Wszystko to nie było jednak podane „na tacy”. Studenci musieli sami organizować sobie imprezy, mogli więc wykazać się zmysłem organizacyjnym, operatywnością. — Zżyliśmy się od razu i rozumieliśmy dobrze. Były oczywiście i problemy, ale gdzie ich nie ma? Często po pracy siadaliśmy razem pod namiotami i po prostu rozmawialiśmy sobie o tym i owym — mogliśmy tak gadać do późna.

Doświadczenie dydaktyczne pomogło p. Annie w szybkim nawiązaniu kontaktów ze swoimi studentami. Jej zdaniem, potrzeba poznania ludzi, zrozumienia ich, jest bardzo ważną sprawą w pracy wychowawczej.

— Ludzie muszą wiedzieć, czego się od nich spodziewam i czego oni się mogą po mnie spodziewać, czy mogą mi zaufać. Podstawą dobrej grupy, dobrego kolektywu — mówi — jest jej życie, wzajemne poznanie, likwidacja poczucia samotności. Z taką grupą można wiele zdziałać, dużo osiągnąć.

Żywym przykładem jest jej hufiec. Po zakończeniu praktyki posypał się deszcz nagród. Pochlebne artykuły w Biuletynie Informacyjnym Akcji „Chełm 80”, wyróżniające pracę i postawę społeczną hufca. I miejsce w ogólnopolskim Wpółzawodnictwie SHP (dyplomy dla uczestników, nagroda dla p. Anny), nagroda ufundowana przez ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, dyplomy i nagrody książkowe od dyrekcji zakładu, w którym pracował hufiec (PGR Husynne), dyplomy od Sztabu Akcji „Chełm 80”, dyplomy od wojewody chełmskiego, listy pochwalne.

— To co osiągnęliśmy — mówi — to jest bardzo dużo, ale osiągnęliśmy to nie dzięki temu, że ja byłam komentantem, lecz dzięki wspólnemu kolektywowi jakim był hufiec. Chciałabym podziękować wszystkim tym chłopcom za ich pracę i postawę, a szczególnie wyróżnić — mego zastępcę Kazimierza Lorensa (Inst. Elektroniki) oraz Z. Wiczorka, M. Gonsowskiego, K. Kucharczyka, A. Rutkowskiego (Inst. Informatyki i Zarządzania) — mówi p. Anna na zakończenie.

A ja chciałabym na zakończenie przytoczyć fragment z podsumowującego artykułu Biuletynu Informacyjnego Akcji „Chełm 80”:

„Mamy nadzieję, że we wszystkich ośrodkach akademickich Studencka Akcja „Chełm 80” będzie traktowana w podobny sposób jak we Wrocławiu, a jej uczestnicy będą przyjeżdżali do Chełma z odpowiednim przygotowaniem i zaangażowaniem, jak również opuszczają Ziemię Chełmską z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku (...).”

Czy w przyszłym roku również Chełm, pani Anno?

oprac. KATARZYNA LUDWIŃSKA

GOSPODARSKIM OKIEM

INŻ. KOSZELNIK NALIEŻY DO wzorowych i przodujących pracowników administracji, często potrafi pracować za dwóch. Jest dokładny, sumienny, dociekliwy w swoim działaniu. Tę opinię wystawił p. Koszelnikowi z-ca dyrektora Instytutu Inżynierii Chemicznej i Urządzeń Ciepłych.

Pan Stanisław Koszelnik rozpoczął pracę w naszej uczelni w 1958 r., od roku 1962 związany jest z Instytutem Inżynierii Chemicznej i Urządzeń Ciepłych. Choć kilkakrotnie w tym okresie zmieniał stanowisko pracy (pracował jako technolog — asystent dyrektora instytutu, a od dwóch miesięcy — inżynier d/s aparatury), zawsze jego działalność zawodowa nacechowana była dużą troską o aparaturę i sumiennością wyrażającą się choćby w tym, że w ciągu prawie 20 lat pracy nie zanotował na swym koncie żadnego spóźnienia. Jest to tym bardziej godne podkreślenia, że w 64 r. zdecydował się na podjęcie studiów wieczorowych na specjalizacji Inżynieria Chemiczna, które ukończył w roku 1969-

Po kilku latach pracy doszedłem do wniosku, że wiedza, którą wyniosłem z technikum chemicznego jest niewystarczającą do rozwiązywania specyficznych problemów związanych z moją pracą w Instytucie i to właśnie skłoniło mnie do podjęcia studiów — komentuje krótko inż. Koszelnik. — Studia uznał za zwyczajną i normalną sprawę i tak też patrzy na swoją pracę.

„Kiedy obsadzaliśmy stanowisko inżyniera d/s aparatury w naszym Instytucie, uznaliśmy, że nie ma człowieka, który bardziej by się do tego nadawał niż inż. Koszelnik. Po pierwsze zna od podszewki cały Instytut, choćby



Fot. J. MARTAN

z racji tego, że kilkakrotnie pracował jako przewodniczący komisji inwentaryzacyjnych i kasacyjnych, wie wszystko o każdym aparacie znajdującym się w Instytucie. Po drugie — jako inżynier mający ukończoną specjalność inżynieria chemiczna ma doskonale rozeznanie co do samej aparatury — to znowu opinia dyr. Muchy.

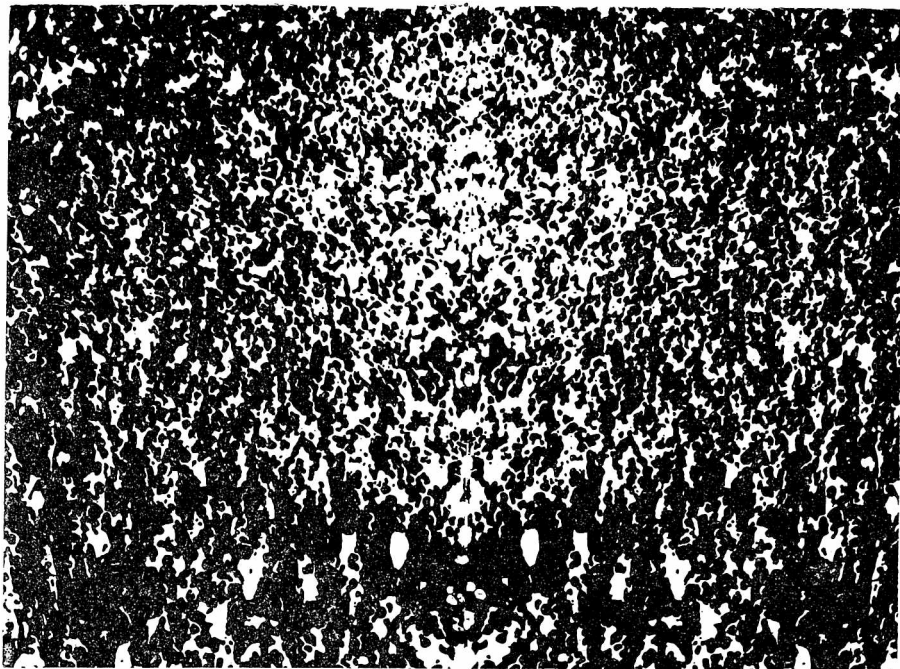
Prawdę mówiąc, bardziej odpowiadałaby mi praca w laboratorium, ale tu czuję, że jestem bardziej potrzebny. Na aparaturę wydaje się miliony złotych — nie mogą się one marnować — mówi inż. Koszelnik. I to jedno zdanie wystarczy zamiast komentarza, gdybyśmy chcieli mówić o zaangażowaniu p. Koszelnika w sprawy Instytutu — w nasze wspólne sprawy.

Za swą działalność inż. Koszelnik co roku otrzymuje nagrody J.M. Rektora. Jest też odznaczony Złotą Odznaką Politechniki Wrocławskiej.

Rozmawiała:

MAŁGORZATA KRAMKOWSKA

Fot. M. DANYS



Praktyk ciąg dalszy...

Marek J. Szewczyk

OKRAĞLY STOLIK, BLAT podzielony na równe części, wirujący talerzyk i gromadka głów wpatrzona w jego magiczny ruch. Spirytystyczny ten obraz, znany nam z opowiadań babć, cioc, nianiek, został ostatnimi czasy przetransponowany na wiele sytuacji „z życia”... Obrady przy zielonym stoliku, sprawy oparte o blat. Odległe to od sakralnej ciszy przerywanej pbrzękami porcelany i westchnieniami medium, a jednak...

PRAKTYKI

Są różne. Robotnicze, specjalistyczne, krajowe i zagraniczne... Studenci wyjeżdżają, studenci przyjeżdżają. Niekiedy w ostatniej chwili otrzymują telegram, że z przyczyn od nas niezależnych miejsce i termin uległy zmianie. By uniknąć jakichkolwiek pomyłek dodam, iż rzecz będzie o praktykach z serii tzw. wymian międzyuczelnianych organizowanych przez Pion Współpracy z Zagranicą PWr., a których to ostatnio naszym studentom z roku na rok przybywa.

I tak: w roku 1971 wymieniliśmy 10 grup, w 1974 — 22, a w 1977 już 39 grup. Różnica istotna, a wyrażona w procentach, do których tak bardzo przywykliśmy, wygląda jeszcze okazalej. Rośnie wymiana, rośnie współpraca, przybywa segregatorów urzędniczych, przybywa szaf. Przybywa kłopotów. Nie będę tu narzekał na niedostatek bazy lokalowej, czy wynikające

w istniejącej — przeszkody natury przyrodniczej (czytaj insektowej). Pominę częściowo kłopoty tzw. przeliczników bankowych, choć niekiedy są one niezwykle istotne. Spróbuję natomiast prześledzić sytuację jaka zaistniała w czasie ostatnich wakacji i na jej podstawie wysnuć pewne wnioski. Na ile sprostżenia moje będą słuszne, okaże się po opublikowaniu niniejszego artykułu. Mając bowiem miłe doświadczenie z aktywności korespondencyjnej naszych czytelników myślę, że ci, którzy uczestniczyli w realizacji i całym procesie przygotowawczym dołączają swoje uwagi do omawianego przeze mnie problemu.

We wszystkich sprawozdaniach, ocenach, protokołach, przywykliśmy do pewnego schematu: rzeczy dobre — na początek, złe — do środka, i znów cacy. Niech mi dziś będzie wolno dokonać wyłomu w tej tradycji.

Uczelnia w Nantes — dotychczasowy wzór grup zagranicznych, w tym roku nie popisała się. Studentki Wyższej Szkoły Architektury skutecznie i dość szybko zarobiły na niezbyt pochlebną opinię. Oddajmy głos opiekunowi dydaktycznemu z ramienia PWr. nad tą grupą:

— Studenci francuscy (same dziewczęta) zaprezentowali się w Polsce jako grupa mało zdyscyplinowana, o bardzo małych aspiracjach i zamierzeniach. Kilkakrotnie dawały dowód swego lekceważącego stosunku do przedstawicieli PWr. jako swych bezpośrednich opiekunów oraz do wykonywanej pracy. Brak znajomości elementarnych

zasad kultury i higieny potwierdził 22-dniowy okres zamieszkania w MDS T-15 we Wrocławiu oraz okresy zamieszkania w Warszawie i Krakowie. Taka postawa naturalnie znacznie utrudniała pracę organizacyjną, a niekiedy niweczyła wysiłek opiekuna i studentów polskich.

Na szczęście sprawa zachowania i postawy studentek francuskich w Polsce została już omówiona na spotkaniu z dyrektorem WSA w Nantes, w czasie pobytu naszej grupy w tej uczelni. Wobec winnych zostały wyciągnięte konsekwencje, a grupa z Nantes w przyszłości przyjeżdżać będzie z opiekunem naukowym, odpowiedzialnym za jej zdyscyplinowanie i postawę. Wypada teraz sobie tylko życzyć, by opiekunowie nie byli z kolei podobni do ich niektórych NRD-owskich kolegów.

Sięgam do sprawozdań:

— *Od początku byłem stale pod działaniem silnego parcia z ich strony o pieniądze — pisze opiekun z ramienia Instytutu Matematyki PWr. — Jak najszybciej, dużo, dużo pieniędzy! Byli nienasytzeni, a opiekunowie pod tym względem byli dużo gorsi od studentów. Betrauer nachalnie i wytrwale dopominał się o pieniądze za studentkę, która w ogóle nie przyjechała! Znałdowało to odbicie w ich stosunku do wszystkiego co musieli oglądać. Nie brakowało kpinek i pokątnych wyszydzań. Wyróżniał się w tym drugi opiekun Heinz-Dieter R. Na szczęście tych sygnałów ostrzegawczych jest bardzo mało. W większości goście i gospodarze są zadowoleni z wymiany.*

— *Należy stwierdzić, że cały program praktyki, zarówno część zawodowa jak i wycieczkowa, został przyjęty z dużym zadowoleniem przez studentów bułgarskich, którzy z dużym zainteresowaniem i zaangażowaniem brali udział w każdej imprezie. — Uważam, że praktyka była zorganizowana bar-*

dzo dobrze i że w przyszłości należy kontynuować wymianę grup studenckich z Uniwersytetem w Olomouc.

A jak oceniali opiekunowie z ramienia PWr praktyki, na które wyjechali ze studentami?

— „W siedmiodniowym programie rozmów studentci zapoznali się bardzo ogólnie z technologią produkcji dwóch nowoczesnych kombinatów syntety organicznej: Kazańskim Zakładem Syntezy Organicznej i Niżnikamskim Kombinatem Chemicznym. W ramach zwiedzania Kazańskiego Chemiczno-Technologicznego Instytutu studenci zwiedzili laboratoria badawcze i dydaktyczne Katedry Chemii Nieorganicznej, Fizycznej i Inżynierii Chemicznej. Grupa polska była bardzo życzliwie i serdecznie przyjmowana przez kierownika oraz pracowników Katedry. Również z dużą dozą sympatii i serdeczności grupa nasza spotkała się w zwiedzanych zakładach pracy, szczególnie było to widoczne w Fabryce Chemicznej w Mendelejewsku...”

Nie znajduję wśród sprawozdań negatywnych cenzurek wystawianych studentom polskim. Nic nie przynosi także dokładna analiza poczytnej rubryki „Sigmy” pn. Komunikat Komisji Dyscyplinarnej. Utwierdzam się w przekonaniu, że było dobrze. Mogło jednak być lepiej. Mogli np. studenci Politechniki wyjechać do Liverpoolu, a nie wyjechali. Uczelnia brytyjska nie dysponowała odpowiednimi środkami finansowymi na realizację wymiany. Mogła jedna grupa więcej wyjechać do NRD, ale nie wyjechała, ponieważ program pobytu podobnej grupy niemieckiej (przypominający wycieczkę) i zbyt krótki czas jej trwania, były nie do przyjęcia przez Instytut Energoelektryki. Nie udało się zrealizować wymiany 7 grup przewidzianych w projekcie wymiany studenckich praktyk zagranicznych Politechniki Wrocławskiej na

rok 1977. Powód: brak zgody kontrahentów zagranicznych. Natomiast dodatkowo do planu wymiany w oparciu o bezpośrednie porozumienia zrealizowano wymianę 3 grup (do ZSRR i NRD).

Wielokrotnie w pierwszym stadium rozmów czynnik finansowy odgrywa istotną rolę. Np. przed kilkoma laty przelicznik finansowy, marka NRD-owska — złoty polski wynosił 4,78, obecnie: 7,50. Szczególnie wyraźnie zauważa się to w wymianie z uczelniami w NRD i WRL, które dając równowartość kwoty przeznaczonej na żywienie w PRL, wypłacają studentom pieniądze na żywienie zamiast zapewnić im posiłki w stołówkach. Kwoty te — zbyt niskie, ale równe limitami określonymi przez resort, nie starczą na posiłki i zmuszają studentów do wykorzystania na te cele niezbyt wysokiego kieszonkowego, bądź środków z prywatnej wymiany, też skromnych, bo limitowanych decyzją Ministerstwa do wysokości 50 rubli (lub równowartości w walucie kraju) na osobę. Wydało mi się, że sprawy te powinny być jak najszybciej rozpatrzone przez odpowiedni resort Ministerstwa. Oddkładanie tych spraw na później może doprowadzić do sytuacji, w której poszczególne uczelnie (bo mniemam, że nie jest to problem osobniony) będą musiały zbyt dużo dokładać do tej wymiany, powodując osłabienie finansowania innych posunięć wewnątrzuczelnianych, a także doprowadzić może do zmniejszenia zainteresowania wymianą ze strony zagranicznych kontrahentów.

Oddzielny problem to zakwaterowanie przybywających grup na terenie naszego kraju. Bazę noclegową zapewniają odpowiednie placówki BPiT Almatu. Z relacji opiekunów praktyk wynika, że wystarczający komfort zapewniły jedynie akademiki Politechniki Gdańskiej

i AGH w Krakowie. Natomiast już oceny akademików w Warszawie są bardzo zróżnicowane. Tę sprawę również należałoby jak najszybciej uregulować na forum ogólnopolskim. Nie wszystko bowiem daje się załatwić umowami dwustronnymi, a już o umowach dwustronnych typu Uczelnia — PKP mowy być nie może choćby ze względu na stałe tzw. trudności przewozowe. Chodzi o rezerwację miejsc w czasie przejazdów wycieczkowych. Uczelnie nierzadko dowiadują się na tydzień, dwa, o potwierdzeniu przyjęcia grupy. Zaczynają się wówczas rozmowy kończące się zazwyczaj fiaszkiem. Wiadomo — lato, szczyt przewozowy. Pozostaje autobus. Koszty rosną. Ale kogo to obchodzi?

Problemów jest więcej. Wystarczy stworzyć szufladę, wystarczy poczytać sprawozdania, wystarczy porozmawiać ze studentami. I znów wracamy do stolika. Magicznego, drewnianego, pokrytego zielonym sukmem. W narożach ostemplowanego pieczęcią MNSzWiT. Trzeba koniecznie przedyskutować tę sprawę, trzeba podjąć radykalne kroki mające na celu uzdrowienie kulejącej sytuacji. Nadejdzie bowiem dzień, kiedy na „lekarza” będzie już za późno. Zróbmy i tu odmianę. Niech ktoś podejmie to ryzyko, niech zacznie działać od razu, nie wpisując na listę posunięć najbliższej pięciolatki. Wnioskuje zainteresowanie MNSzWiT przedstawionym problemem. Czy znajdzie się ktoś, kto podejmie wniosek?

W roku 1978 Politechnika Wrocławska przewiduje wymianę 50 grup studenckich. W „rozkładzie jazdy” figurują takie kraje jak BRL, CSRS, NRD, Francja, WRL, ZSRR... Tylko jakim kosztem zostanie to zrealizowane?

Marek J. SZEWCZYK

Z NA BAKIER

W październikowym (1/84) numerze „Sigmy” ukazał się felieton „O kropelce” dotyczący imprez organizowanych w klubie centralnym, a głównie zakończenia rajdu „o kropelce”.

W związku z w/w artykułem redakcja otrzymała sporą ilość listów od organizatorów i uczestników rajdu.

Kwestionowano w nich prawdziwość sygnalizowanych faktów i stwierdzono, że publikacja ta była krzywdząca i obraźliwa dla organizatorów i uczestników.

Po przeprowadzeniu szeregu rozmów stwierdziliśmy, że rzeczywistość informacje udzielone przez pracowników związanych z klubem, a głównie przez ówczesnego kierownika klubu, były niezgodne ze stanem rzeczywistym. W związku z powyższym serdecznie przepraszamy zainteresowanych i czytelników.

REDAKCJA

Poniżej publikujemy dwa materiały, które wpłynęły do redakcji w związku z wspomnianym felietonem.

ZAMIESZCZONY W OSTATNIM NUMERZE „SIGMY” artykuł z cyklu „Pod paragrafem” poruszający sprawy związane z dzia-

lnością Klubu Centralnego, spowodował, że organizatorzy „Rajdu o kropelce” poczuli się co najmniej dotknięci.

Autor felietonu wykorzystując

nazwę rajdu, znakomicie w jego wyobrażeniu pasującą do problematyki, której chciał poświęcić swój artykuł, przypisał ciemne strony klubowego życia imprezie i osobom, które bez dania racji obrazili i skrzywdził. Prawda o rajdzie wyglądała bowiem zupełnie inaczej.

KOLEJNY trzeci samochodowy „Rajd o kropelce”, organizowany przez Stowarzyszenie Naukowe Studentów przy Instytucie Konstrukcji i Eksploatacji Maszyn, zgromadził na starcie rekordową liczbę kierowców. Przekraczając ustalony limit, przyjeśliśmy 60 załóg, co stanowiło maksimum, przy imprezie jednodniowej, prowadzonej przez niewielką liczbę osób. Po prawdziwych emocjach i przygodach na trasie, po nerwowym obliczaniu wyników, spotkaliśmy się wszyscy w Klubie Centralnym Politechniki Wrocławskiej na uroczystym zakończenia rajdu. Przybyli wszyscy zawodnicy, pracownicy naukowci wraz z Dyrektorem IKiEM, który miał wręczyć puchar zwycięzcy „III Rajdu o Kropelce” oraz my, organizatorzy imprezy. Zebrało się ponad 150 osób.

Zorganizowanie zakończenia w Klubie Centralnym pochłonęło niemal tyle samo czasu, co przygotowanie części

sportowo-turystycznej rajdu. Klub Centralny, to nie jest „to”, jak pisze JAN, Brakowało obiecanych przez kierownika Klubu mikrofonów, a nawet talerzyków, filiżanek, szklanek, lampek na wino, nie mówiąc o napojach czy słodyczach. Wszystko to pożyczaliśmy lub kupowaliśmy, a uroczyste zakończenie mogło się odbyć dzięki „Praktycznej Pani” oraz życzliwości kierowniczkibufetu. Tradycyjnie salę podzieliliśmy na część kawiarnianą i widowiskową, gdzie występowała znana krakowska „Wolna Grupa Bukowina”. Społecznie pracujące studentki Politechniki, Uniwersytetu i Akademii Medycznej parzyły kawę i herbatę, serwowały kremy i ciastka, a potem zmywały naczytnia i sprzątały salę.

W tym miejscu chcielibyśmy wyjaśnić nazwę rajdu, którą tak ochocho wykrzytał „JAN”. Otóż chodzi o to, aby zawodnicy pokonali trasę rajdu w sposób ekonomiczny, używając przysłowiową kropelkę BENZYN!

Panie JANIE! Nazwa jak widać nie ma nic wspólnego z alkoholem, który podany został jeden raz, bezpośrednio po ogłoszeniu oficjalnych wyników rajdu. Wino roznoszone było po sali w lampkach na tacach. Na uroczyste zakończenie rajdu wstęp mieli tylko zaproszeni goście, którzy poczęstowani zostali dosłownie lampką wina. Klub po imprezie został dokładnie uporządkowany. Musiało być chy-

ba sympatycznie, skoro pomagali nam w tym nawet zawodnicy.

Nieprawdą jest, że na kierowniczym biurku po naszej imprezie pozostała bateria butelek!

Nieprawdą też jest, że klub został zdewastowany, a nazajutrz powołano specjalną komisję szacującą szkody! Wystarczającym i ostatecznym dowodem jest załączone oświadczenie kierowniczkibufetu, która 25 kwietnia, to jest w dzień po rajdzie, odebrała od nas posprzątaną klub z całym wyposażeniem oraz umytymi wszystkimi naczyniami.

Trudno zrozumieć, że „SIGMA”, która tak pozytywnie i serdecznie opisała „II Rajd o Kropelce” („Nasze małe Monte Carlo”) w rok później nie przyjęła materiałów o III rajdzie, a zamieszciała artykuł „JANA”, całkowicie potępiający nasz kolejny rajd, nie konfrontując faktów z organizatorami.

Nawiasem mówiąc, informacje o tegorocznym rajdzie, podobnie jak o dwu poprzednich, zamieszcila telewizja i wrocławska prasa. Sądźmy, że schowane pod przyłbicą „JAN”, używający niewybrednych epitetów i oskarżający publicznie naszą imprezę, zda sobie sprawę, że przekreśla kilkuletnią prawdziwie społeczną pracę grupy studentów i absolwentów Instytutu Konstrukcji i Eksploatacji Maszyn. Przypomnijmy, że nawet po zamieszcze-

niu prawdy o przebiegu rajdu, pozostanie cień, jaki padł na „Rajd o Kropelce” po nieodpowiedzialnym artykule „JANA”.

Adam JARA
Jerzy KOWALEWSKI
Marek MLYŃCZAK
Tomasz NOWAKOWSKI

24. 04. 1977 r. odbyło się w Klubie Centralnym Politechniki Wrocławskiej uroczyste zakończenie III Rajdu Samochodowego „O kropelce...” organizowanego przez studentów naszego Instytutu. W imprezie brali udział obok uczestników rajdu członkowie dyrekcji Instytutu z dyrektorem oraz zastępcami d/s studenckich jak również opiekun kola naukowego SNS w naszym Instytucie.

Impreza ta przebiegała w bardzo miłej i kulturalnej atmosferze i nie było mowy o żadnych niestosownych zachowaniach się uczestników spotkania. Fakty przedstawione w artykule zamieszczonym w „Sigmie” nr 1-7/78, naszym zdaniem, nie odpowiadają rzeczywistości i są nadzwyczaj krzywdząco naświetlone, tym bardziej, że impreza została wysoko oceniona przez środowisko naszej Uczelni jak i środowisko akademickie Wrocławia.

dr inż. Wacław KELLE

O rzetelną pracę studenckich grup działania

NA POCZĄTKU ubiegłego roku akademickiego Rada Wydziałowa SZSP Wydziału Filologicznego przy Uniwersytecie Wrocławskim postanowiła, że głównym jej zadaniem w tym roku będzie zaktywizowanie Grup Działania. Od samego początku zdawano sobie sprawę, że będzie to trudna i wymagająca wiele wysiłku praca, choćby z tego powodu, że Wydział Filologiczny jest największym wydziałem na Uniwersytecie (liczącym ponad 2800 studentów stacjonarnych).

Dyskutowano nad dwiema koncepcjami. Jedną z nich było utworzenie Rad Instytutowych, a drugą — podjęcie prac aktywizujących Grupy Działania w istniejącej strukturze organizacyjnej. Za powołaniem do życia Rad Instytutowych przemawiało to, że mieliśmy już (przynajmniej w większości instytutów) aktyw, który mógłby podjąć się tej pracy. Należało się jednak równocześnie obawiać niebezpieczeństwa zbytniego rozczłonkowania aktywu, co w konsekwencji mogłoby doprowadzić do zerwania współpracy między instytutami.

Zwolennicy drugiej koncepcji proponowali, aby przekształcić istniejącą Radę Wydziałową w organ kontrolujący

i koordynujący, a ciężar pracy przeznaczyć na Grupy Działania. Chodziło oczywiście o pracę wykonawczą jedynie. Członkom Rady Wydziałowej przybyłoby wówczas pracy inspirującej i koordynującej pracę Grup Działania.

Po przeanalizowaniu wszelkich za i przeciw zwyciężyła koncepcja druga i od razu zabrano się do jej realizacji.

W pierwszym etapie odbyło się seminarium wyjazdowe, na którym członkowie Prezydium Rady Wydziałowej wraz ze starostami lat pierwszych starali się sformułować konkretny projekt realizacji postawionego zadania. Efektem tego seminarium była broszurka zatytułowana „O rzetelną pracę studenckich grup działania”, w której zawarty został materiał zebrany na seminarium, i która miała stać się niejako przewodnikiem Studenckich Grup Działania.

A oto niektóre z postulatów zawartych w tej broszurce:

- utworzenie Grup Działania na grupach ćwiczeniowych.
- powołanie starostów i wicestarostów Grup Działania,
- utworzenie Rady Roku składającej się ze starostów Grup Działania i starosty roku,
- praca Grupy Działania powinna zawierać się w następujących dziedzinach: organizacyjnej, ekonomicznej, dydaktycznej i wykorzystania czasu wolnego.

Następnym etapem pracy nad aktywizacją Grup Działania było przedłożenie opracowanych materiałów na Plenum Rady Wydziałowej do zatwierdzenia. Plenum, po wprowadzeniu kilku poprawek, zatwierdziło program działania i zobowiązało Prezydium Rady Wydziałowej do jego realizacji.

Realizację rozpoczęto od utworzenia Grup Działania w grupach ćwiczeniowych i powołania starostów grup. Gdy zmiany organizacyjne dobiegły końca, zaproszono starostów Grup Działania lat pierwszych (brak funduszy nie pozwolił na objęcie lat starszych) na szkolenie do Szklarskiej Poręby. Tam poinformowano ich dokładnie o zadaniach stawianych przed nimi oraz zaproponowano niektóre formy i metody ich realizacji.

Jeżeli ten nowy sposób pracy zda egzamin, w przyszłym roku akademickim nowo przyjęci studenci zostaną zaproszeni na podobne szkolenie, i może w ten właśnie sposób Wydział Filologiczny doczeka się Grup Działania takich, o jakich marzą wszyscy członkowie SZSP.

MAREK GÓRNIK

P. S. Zapraszamy wszystkich naszych Czytelników do dyskusji nt. „Jaka jestes Grupa Działania naprawdę?”. Czekamy na Wasze wypowiedzi.

REDAKCJA

Cienie i blaski MDS-u

PRZEZ dwa miesiące w Domu Studenckim T-15 przy ul. Wittiga funkcjonował Międzynarodowy Dom Studencki. Z jego usług skorzystało 1800 studentów z krajów socjalistycznych oraz z Francji, Portugalii i Hiszpanii. Naszym zagranicznym gościom zapewniono ciekawy program kulturalno-oświatowy i sportowy, o czym zresztą pisaliśmy już na łamach „Sigmy”. Warto jednak bliżej przyjrzeć się działalności MDS-u. Chociażby dlatego, aby błędów popełnionych w tym roku uniknąć w przyszłych latach.

Patronat nad nim sprawowała Rada Uczelniana SZSP. Niestety nie wywiązała się ona w pełni z wynikających z tego tytułu powinności. Kierownic-

two MDS-u nie było na bieżąco informowane o aktualnych zmianach w terminach przyjazdów poszczególnych grup zagranicznych. Bardzo często zdarzało się, że przyjeżdżało 30—40 osób zupełnie nie planowanych na dany dzień. Pokoje były więc o większości nieprzygotowane na ich przyjęcie.

Nie sprawdziła się również funkcja opiekunów grup. Byli to ludzie po prostu w większości nieodpowiedzialni. Np. 30-osobowa grupa studentów z Wołgogradu przyjechała do Wrocławia z Warszawy bez żadnego pilota ze strony RU SZSP. Do obowiązków opiekuna należało również dopilnowywanie, aby jego grupa pozostawiała po wyjeździe porządek i tego niestety także nie realizowano. A jeśli dodać ich zachowanie w stosunku do kierownictwa MDS-u, to będziemy mieli pełny obraz tego,

w jaki sposób spełniali oni swoją rolę.

Komisja Propagandy i Informacji RU SZSP zapomniała, choć obiecywała to solennie, zapewnić oprawę plastyczną MDS-u. Chodziło np. o wykonanie o-kolicznościowej tablicy informacyjnej na Dworcu Głównym PKP, zewnętrznej dekoracji budynku MDS-u i wielu innych przedsięwzięć.

Zdała natomiast egzamin struktura organizacyjna hotelu. Pracowało w nim łącznie 30 osób. Utworzono funkcję z-cy kierownika d/s administracyjno-gospodarczych, dzięki czemu możliwa była np. na bieżąco kontrola pracy wykonywanej przez pokojowych, jak również porządku przed budynkiem. Wprowadzono ponadto z powodzeniem dwuosobowy system dyżurów w recepcji.

MAREK ZYGMUNT

Atrakcyjne noce w DS T-15

JEST GODZ. 22,30. Na portierni DS T-15 przy ul. Wittiga w żadnej przegrodzie nie ma legitymacji studenckiej, dowodu osobistego, lub też innego dokumentu, który zawsze powinna zostawić na portierni, odebrać najpóźniej do godz. 22, i następnie opuścić teren akademika, dziewczyna odpowiadająca swojego chłopca, czy kolegę.

Czyżby rzeczywiście nie było już żadnej przedstawicielki płci piękniejszej? — pytam niedowierzając — portierkę?

— Ależ oczywiście, że nie. Ostatnia pani opuściła akademik za pięć dziesiątą. A trzeba przyznać, że było ich dzisiaj bardzo dużo.

Po wcześniejszym uzgodnieniu z kierownictwem Międzynarodowego Domu Studenckiego, który w tym czasie funkcjonował w tym akademiku, otrzymałem klucze od p. nr 418. Byłem tak zmęczony, że z miejsca położyłem się spać. Tapczan był dosyć wygodny, choć jak na moje prawie dwa metry wzrostu, trochę za krótki. Wokół panowała cisza, nawet samochodów przejeżdżających ul. Wróblewskiego nie było tak bardzo słychać. Słowem idealne warunki do nocnego wypoczynku...

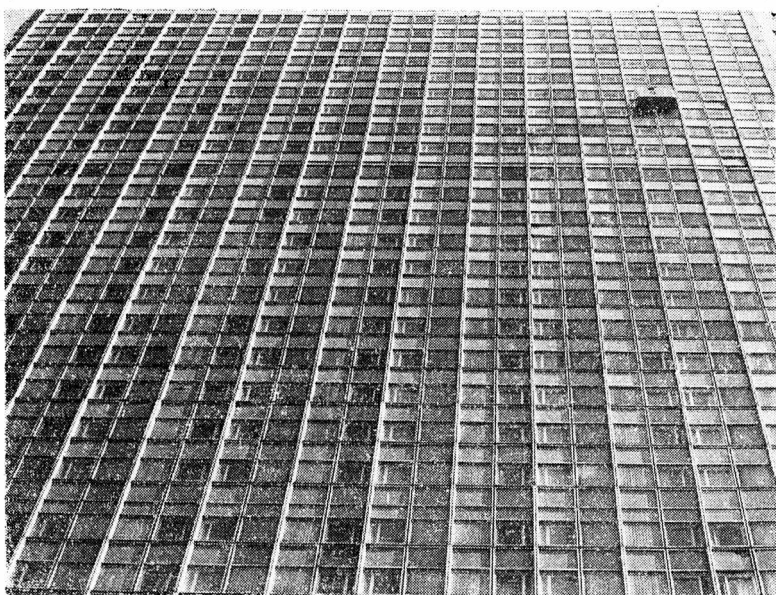
Przebudziłem się jednak po jakimś czasie, wstałem, zapaliłem światło i stwierdziłem, że w pokoju — a jak się później okazało prawie w całym akademiku — przebywają po godzinie 22,00 (i to bez żadnej legitymacji, dowodu itp.!) przedstawicielki rodzaju żeńskiego,

Oto bowiem na moim ciecie, a także na ścianie, przy której znajdował się mój tapczan, pojawiły się niezwykle okazałe... pluskwy. Dobrały się do mnie całą chmarą. (Co zrobić, żeby takie powodzenie mieć u dziewczyn? — pomyślałem sobie), i to bardzo agresywnie. Po jakimś czasie udało mi się jednak opanować sytuację, ubrałem się i ku zdziwieniu pani portierki opuściłem akademik ok. godz. 1,00 w nocy. Dobiegło więc końca moje nieprzewidywane i na pewno nie należące do bardzo przyjemnych spotkanie z pluskwami.

Szkoda tylko, że jak dotychczas, dyrekcja Zespołu Domów Studenckich i Stołówek nie potrafi znaleźć odpowiedniej recepty na tego typu „nocne atrakcje” w DS T-15.

Co z żalem stwierdza omal nie zapluskwiony

MAREK ZYGMUNT



DO DOMU WRACAŁA NA „tarczy”. Chciała o wszystkim zapomnieć jak najszybciej. Nie dostała się na studia. Była to dla niej klęska. Koniec ambitnych planów. Ale zaciskała zęby i kupowała książki, które miały jej się przydać do egzaminów w przyszłym roku.

We wrześniu jednak zadzwonił wujek, że będą organizowane dodatkowe egzaminy, wprowadzie na inny kierunek niż zdawała, ale radził jej spróbować. Wahała się. Z jednej strony chciała wyjechać z rodzinnego miasta jak najszybciej, oderwać się od „życziwych” koleżanek i sąsiadek, z drugiej strony przerażała ją myśl ponownej porażki i wyjazd na drugi koniec Polski. Jechała jak na ściecie, ale egzaminy zdała bardzo dobrze. Była zdziwiona i zadowolona, że wszystko tak dobrze się ułożyło.

Pojawił się jednak problem mieszkania. O akademiku nie miała co marzyć. Przed gablotami „Biura Ogłoszeń” spotykała studentki i studentów szukających pokoju. Jedni z nich spali na dworcach, inni waletowali w akademikach. Zbliżał się początek roku akademickiego, a ona wciąż była bez locum. Tymczasowo sypiała u krewnych, ale ci nie chcieli jej przyjąć na dłużej.

Upływał miesiąc za miesiącem. Krewni pogodzili się z myślą, że będzie u nich mieszkać do końca roku akademickiego. Pod koniec maja, w przerwach między egzaminami, chodziła po dzielnicach willowych i nowych osiedlach w poszukiwaniu mieszkania. Większość była już zarezerwowana na nowy rok akademicki, ich właściciele woleli zresztą wynajmować pokoje osobom pracującym. Ulitował się nad nią ogrodnik, właściciel połowy bliźniaka. Przyjął ją do trzyosobowego pokoju za 600 zł miesięcznie.

Pokój sprawiał bardzo smutne wrażenie. Stara trzydrzwiowa szafa, stół i trzy żelazne łóżka. — Po oficerach niemieckich — zachwalał właściciel. Współlokatorki zmieniały już „prywatkę” cztery razy. Później dowiedziałam się, że gospodarz przyjął mnie na miejsce studentki, której kazał się wynosić, bo nie zapłaciła mu od razu za pokój.

Romana Kuffel

Był to człowiek pomysłowy i praktyczny; zaadaptował piwnice na pokoje i upchnął do nich po pięciu chłopaków, tak że łącznie mieszkało u niego 19 osób.

Złyło nam się przyjemnie, choć o nauce nie było mowy. Kto chciał się uczyć, jechał do czytelnicy. W naszym „kołchozie” odchodziło rodzinne muzykowanie, niektórzy grali na gitarach, inni włączali na cały regulator magnetofony, radia, zagorzali telewizorów godzinami oglądali programy telewizyjne. Wieczory uatrakcyjnił swoimi występami Paweł — nudysta. Przedstawił się jako prezes klubu nudystów w Poznaniu i namawiał nas, abyśmy razem z nim urządzili strip-tease na ulicy lub w supersamie. Chętnych jednak nie było. Pawła to nie zniechęciło i sam wystąpił w „adamowym” stroju na imieninach Grażyny. Chłopcy go szybko wprowadzili, bo narobiliśmy pisku. Największe problemy były z łazienką. Postępowaliśmy w myśl zasady: kto pierwszy, ten lepszy. Ciepła woda leciała raz w tygodniu i starczała zaledwie na 2—3 osoby. Pozostali chodzili niedomyśli. Właściciel palił raz w tygodniu, bo musiał ogrzewać szklarnię. Okrywaliśmy się kocami i czym się

Fot. Cz. PIETRASZKO



dało, aby nie zamarznąć. Ze szklarni przechodziły do naszego pokoju szczypawki i inne robactwo. Od czasu do czasu chłopcy z „piwnicy” przynosili złapane przez siebie myszy. Robili zakłady ile ich złapią do końca roku. W maju przygarnęliśmy do siebie Niuńkę. Mieszkała razem z koleżanką w domu mecenasa, który postanowił wykorzystać studentki do zaspokojenia swoich intymnych potrzeb, a gdy spotkał się ze zdecydowaną odmową, dał im godzinę czasu na spakowanie rzeczy i wyniesienie się z pokoju. Nasze warunki mieszkaniowe nie były takie złe, jak sądziłam. Mecenasa wyłączał światło o godzinie dziesiątej i dziewczyny musiały się uczyć przy świecach. Wanna miała tylko dwie nogi i przechylała się przy każdej próbie kąpieli. Interesanci odwiedzający mecenasa ślizgali się na psich nieczystościach. W całym mieszkaniu unosił się przyjemny fetor. Gdy wysłuchałam relacji Niuńki, stwierdziłam, że lepiej mieszkać na przyszły rok na tej samej „prywatce”. Wyjechałam na wakacje spokojna o przyszłe locum. Wróciłam pod koniec września i zobaczyłam gromadę obcych chłopaków kręcących się po domu.

Właściciel stwierdził, że lepiej opłaca mu się wynajmować pokoje robotnikom niż studentom. Wszyscy studenci, którzy przyjechali już z wakacji, musieli się wynieść w ciągu trzech dni. Nie pomogły prośby. Jedynie dziewczęta mogły zostać.

Robotnicy okazali się młodymi chłopcami bez zainteresowań, którzy nie wiedzieli w dodatku co robić z piwnicami. Co dzień lała się wódka przy ogłuszających dźwiękach „Pinck Floyda” i zespołu „General”. Nie wytrzymałam takiej dawki mocnego uderzenia i wskutek ataku wyrostka robaczkowego znalazłam się w szpitalu.

Po powrocie dowiedziałam się, że właściciel z naszego pokoju robi sobie pracownię plastyczną i musimy się wynieść do piwnicy. Nasza piwnica w niczym nie przypominała „Piwnicy pod Baranami” czy choćby „Piwnicy Świdnickiej”. Było w niej ciemno, wilgotno i przeraźliwie zimno, unosił się zapach stęchlizny. Przez małe okno mogłyśmy oglądać nogi robotników wchodzących do szklarni.

Na uczelni odrabiałam zaległości. Pomagała mi cała grupa. Czerwiec kończyłam egzaminami i znów musiałam rozglądać się za mieszkaniem. Wprawdzie gospodarz obiecywał mi, że w „piwnicy” nie będziemy długo mieszkać, ale mu nie wierzyłam.

Pojechałam na nowo zbudowane osiedle. Ludzie chętnie tam wynajmują pokoje, ale po 900 zł od osoby. Drogo. W końcu znalazłam pokój za 700 zł od osoby. Zadowolona wyjechałam na wakacje. I znów po powrocie spotkałam mnie rozczarowanie. Właścicielka podniosła cenę o 200 zł. — Tyle wszyscy biorą na tym osiedlu — tłumaczyła się. — Za ciepłą wodę i centralne ogrzewanie trzeba płacić. Zadzwoniłam do domu. Rodzice zgodzili się z wielkimi oporami.

W M-4 jest nas siedem dziewcząt. Właścicielka przychodzi tylko po pieniądze za mieszkanie. Mieszka razem z mężem w drugim mieszkaniu. Dzisiaj przyszła i powiedziała, że możemy mieszkać tylko do czerwca, bo przenosi się tu, a drugie, mniejsze, sprzedaje. Poradziła mi, abym sobie znalazła męża z mieszkaniem, a wtedy nastąpi koniec moich mieszkaniowych kłopotów.

„toto-loto Wybory”

OPIEKUN Z RAMIENIA SZSP pojawił się wreszcie w grupie.

— Dzisiaj wybierzemy delegację na IV Instytutową Konferencję Sprawozdawczo-Wyborczą — powiedział, wchodząc do sali. Wśród ludzi dało się wy-czuć atmosferę oczekiwania Kogo by tu zrobić — zastanawiano się, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia. Decyzja zapadła wkrótce. Typujemy tych, którzy muszą pójść z urzędu i ewentualnie chętnych.

Sala wyborów instytutowych. Grupa zagubionych osób w tłumie nieznajomych. Wszyscy dostali kartki z nazwiskami i prawo do skreślenia części z nich. Po krótkim zastanowieniu każdy wyborca zastosował indywidualny system likwidacji: albo zamazywał co piąte nazwisko, albo dwadzieścia ostatnich, bądź też wszystkie zakończone na -ski(-ska). Nowo wybranemu Plenum przedstawiono kandydatów do Prezydium RI, załączając nader ubogą argumentację. Na szczęście proponowane

osoby były zobowiązane do powstania, tak że można się było bez przeszkód do-kładnie przyjrzeć zaletom i wadom ich sylwetek. Okazało się to niebywale przydatne przy rozdziale głosów wy-borczych. Nowe władze RI wzruszone do łez wynikami wyborów w większo-sci nie były w stanie wymówić słowa (zdania) na temat swojej przyszłej dzia-łalności.

Na IV Uczelnianą Konferencję Spra-wozdawczo-Wyborczą stawili się wszy-scy najwytrwalsi i najbardziej ambitni działacze Organizacji. Przez cały dzień walczyli o studencką władzę w uczel-ni. Zwyciężyli najbardziej popularni i... gadatliwi. Przedstawili wiele propo-zycji i wniosków, niestety w dużym procencie mało oryginalnych i praktycz-nych.

Jeśli miałabym do czegośkolwiek przy-równywać wybory władz SZSP w na-szej uczelni, to z wielu możliwości wy-brałabym loterię w rodzaju toto-lotka, bo tak jak w grze, wyborcy w więk-szości trafiali w ciemno, nie zawsze przekonani o słuszności własnej decyzji

typując właśnie tą, a nie inną osobę. Zawiniła oczywiście akcja propagan-dowa przed wyborami, kiedy to jedy-ną informacją o kandydatach była ich średnia. Gdyby jednak sami wyborcy zechcieli dowiedzieć się czegoś na temat pracy swoich koleżanek i kolegów pro-pomowanych do władz RI? Cóż, kiedy świadomość ideowa wśród członków SZSP większości naszych instytutów jest tak niska, że trudno cokolwiek wymagać. I tak dobrze, że 80% dele-gatów grup działania pojawiło się na instytutowych konferencjach sprawo-zdawczo-wyborczych — mówią starsi i bardziej doświadczeni działacze.

Małe wymagania stawiane szarym członkom Organizacji prowadzą do de-moralizacji środowiska, a w konsek-wencji do zaniżenia poziomu pracy Związku. Warto więc, by nowe władze w większym stopniu zadbały o wycho-wanie ideowe swoich podopiecznych i swoim zaangażowaniem udowodniły, że ich wybór był trafny.

KRYSTYNA GIBNER

Z działalności „Robota”

Nie tylko nauką żyje brać studencka. Nie tylko także różnego ro-dzaju rozrywkami kulturalno-oświatowymi i sportowymi. Każdy stu-dent może w trakcie roku akademickiego, a szczególnie zaś w okresie wakacji, podjąć dodatkową pracę zarobkową w Studenckiej Spółdziel-ni Pracy „Robot”.

Rozmawiamy z wiceprezesem wrocławskiego oddziału Spółdzielni mgr inż. Andrzejem Piechowiakiem.

— Jakiego typu prace wykonują stu-denci zatrudnieni w Waszej Spółdziel-ni?

— Można by je podzielić w zasadzie na dwa rodzaje. Do pierwszego z nich zaliczyłbym prace o charakterze fizycz-nym np. porządkowo-czystościowe, transportowe, magazynowe. Do drugie-go natomiast prace specjalistyczne...

— Wydaje mi się, że ten drugi ro-dzaj prac, to pole do popisu nie tyl-ko dla studentów Politechniki, a także i Uniwersytetu...

— Oczywiście. Otóż owe prace spe-cjalistyczne dzielimy na następujące branże: fizyko-chemiczna (ochrona na-turalnego środowiska człowieka, pomiary zanieczyszczeń wody, powietrza, na-tężenia hałasu, warunki bhp na stano-wiskach pracy itp.), mechaniczna (opra-cowywanie instrukcji obsługi konser-wacji katalogów pomocy warsztatowych i narzędzi), energetyczna (inventary-zacja wszystkich maszyn i urządzeń cieplnych), budowlana (inventaryzacja architektoniczno-budowlana i konstruk-cja obiektów budowlanych, badanie wytrzymałości betonów itp.).

Te cztery branże są najważniejsze, ale można by tu jeszcze wymienić: elektryczną, elektroniczną, instalacyjną, kre-śleń technicznych, tłumaczeń obcoję-zycznych i ekonomiczną.

— Praca tego typu wymaga na pew-no jakiegoś specjalnego przygotowania?

— Musi być ona zgodna z kierun-kiem studiów i wymaga ponadto du-żego zasobu wiedzy i umiejętności fa-chowych.

— Ilu studentów przewija się śred-nio rocznie przez Waszą spółdzielnię?

— Ok. 5—6 tys. Ich zarobek nie mo-że być wyższy niż 13,500 tys. zł netto, natomiast w okresie wakacji — 20 tys. złotych. Członkowie spółdzielni po u-

przedniej zgodzie zarządu mogą ubie-gać się o zwiększenie limitu zarobków o 50%. Mają oni również możliwość korzystania z wielu świadczeń socjal-nych w postaci zapomóg losowych, do-finansowań na imprezy kulturalno-oświatowe, wyjazdy sobotnio-niedziel-ne, wycieczki autokarowe itp.

— Wasza działalność skupia się głów-nie na instytucjach państwowych?

— W br. roku mamy podpisane umo-wy na prace w 224 zakładach na tere-nie całego Dolnego Śląska. Wyróżnił-bym tutaj szczególnie naszych stałych kontrahentów: „Polar”, „Pafawag”, Fabrykę Automatów Tokarskich, Świd-nicką Fabrykę Wagonów, „Mera-Pofal” w Świdnicy, Kombinat Górniczo-Hut-niczny Miedzi w Lubinie, Hutę Miedzi „Głogów”, Zakłady „Len” w Kamien-nej Górze, Fabrykę Maszyn Papierni-czych w Cieplicach i Fabrykę Dywanów w Kowarach.

— Taka szeroka lista partnerów na pewno przyczynia się do pomyślnej realizacji Waszych planów?

— Wystarczy spojrzeć tylko na dane z ostatnich dwóch lat: w 1975 r. prze-kroczyliśmy plan o 30 mln zł, w rok później o 40,5 mln zł. W br. — już teraz mogę to powiedzieć — że ok. 50 mln zł.

— Może teraz kilka słów o warun-kach wstąpienia do „Robotu”?

— Chcąc podjąć pracę w naszej spół-dzielnicy trzeba mieć aktualnie zweryfi-kowaną książeczkę pracy, którą otrzy-mać może każdy student osobiście w zarządzie spółdzielni po przedstawieniu dowodu osobistego, indeksu z wpisem na dany semestr, jednego zdjęcia. Po-wyższe formalności załatwiane są w sie-dzibie zarządu przy ul. Kościuszki 34 w poniedziałki, środy i piątki w godz. od 11,30 do 13,00. Wszyscy chętni mu-

szą ponadto uzyskać od macierzystej Rady Uczelnianej SZSP wpis weryfi-kacji SZSP-owskiej do książeczki pra-cy. Jest on również wymagany od członka spółdzielni po każdym seme-strze. Jest jeszcze jeden warunek do-tyczący studentów zatrudnionych przy pracach fizycznych. Otóż każdy z nich musi przejść badania lekarskie oraz szkolenie BHP (w wypadku pracy na wysokościach powyżej 2 m obowiązuje dodatkowo specjalistyczne badanie le-karskie).

Studenti Uniwersytetu, Akademii E-konomicznej, Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych mogą zgła-szać się w Zakładzie Usługowym przy ul. Kościuszki 34 pok. nr 7, tel. 44-59-79. Studenti Politechniki, Akademii Rolni-czej, Akademii Medycznej, Akademii Wychowania Fizycznego w punkcie przy ul. Wittiga 4 (Dom Studencki T-16, tel. 48-60-72).

Spółdzielnia posiada również swoje filie w Legnicy przy ul. Batorego 8. Świdnicy — ul. Ofiar Oświęcimskich 3/5 i Jeleniej Górze — ul. 1 Maja 67.

— Czy do punktów tych mogą się również zgłaszać osoby prywatne, któ-re chciałyby skorzystać z Waszych usług?

— Oczywiście. Po złożeniu odpowied-niego zamówienia, jest ono zawsze w określonym terminie realizowane.

— Nie zawsze jednak są fachowo wy-konane, zarówno jeśli chodzi o prace fi-zyczne jak i specjalistyczne?

— Po załatwieniu wszelkich formal-ności każdy nasz nowy członek prze-chodzi określony sprawdzian swoich umiejętności. Dokonujemy również bar-dzo często kontroli jakości prac wyko-nywanych przez naszych pracowników i w wypadku stwierdzenia rażących nieprawidłowości — rezygnujemy z da-lszej współpracy z nim.

— Może jeszcze kilka słów o Wa-szych najbliższych planach organiza-cyjnych?

— Zamierzamy uruchomić wkrótce usługi remontowo-budowlane (malowa-nie, tapetowanie, cyklinowanie), agro-techniczne (budowa i konserwacja o-biektów zielonych, prace specjalistycz-ne z zakresu ochrony drzewostanu, ro-ślin).

Rozmawiał: MAREK ZYGMUNT

UTARŁO się następujące określenie wędkarza: „wariat, który uczy robaka pływać”. Stare jak świat dowcipasy na temat mydła, ręcznika i octu jeszcze dziś znajdują aplauz wśród tych, którzy nigdy nie rozumieją człowieka z duszą i sercem oddanego ulubionemu hobby. Kim więc jest wędkarz, czym jest wędkarstwo w ogólności?

Wędkarza nie należy mylić z rybakiem, który zarobkowo trudni się połowem ryb. Wędkarz to człowiek parający się połowem sportowym, wyłącznie za pomocą wędkę, zaś połów ryb nie jest celem samym w sobie. Połów jest połowem sportowym, ponieważ ograniczony jest szeregiem przepisów (okresy i wymiary ochronne, ograniczenia ilościowe itp.). Organizowane są zawody wędkarskie, rejestrowane rekordy i przyznawane medale za rekordowe egzemplarze ryb. W tym więc sensie wędkarz jest sportowcem, a wędkarstwo sportem. Wędkarz jest po trosze turystą. Zawsze nęca go nieznane wody i nowe okolice. Ale lubi również powroty na stare miejsca, w których przeżył prawdziwą wędkarską przygodę. Rasowy wędkarz to miłośnik natury, znający dogłębnie tajniki ulubionego akwenu, studiujący zwyczaje ryb i zwierząt wodnych, i jednocześnie pilny obserwator flory i fauny wodnej i nadwodnej.

Wędkarstwo więc, jako forma sportu i turystyki jednocześnie, oferuje mieszczuchowi niebanalne możliwości aktywnego wypoczynku. Możliwość urwania się od codziennych kłopotów w teren, gdzie nie ma żywej duszy, gdzie jest cisza i spokój, oraz przeżycia czegoś nietypowego, jest rzeczą nie do pogardzenia. Ruch na świeżym powietrzu, urozmaicony wachlarz technik połowu w zależności od akwenu, pory roku, poławianych gatunków, ba nawet w zależności od warunków atmosferycznych, są magnesem przyciągającym tysiące ludzi do tej formy wypoczynku. Pewnie są wśród wędkarzy i tacy, którzy po jednej czy dwu nieudanych wyprawach, zrezygnowali odstawiając patyki na kąt i mówią „nigdy więcej”, ponieważ wydatki poniesione na drogi sprzęt nie zwróciły się w postaci całego wora ryb przeznaczonych na patelnię lub do octu. Sukcesy nie przychodzą od razu. Do maestri dochodzi się po latach zbierania doświadczeń, podpatrywania doświad-

ZWIERZENIA WĘDKARZA

Wiesław Apostoluk

czonych wędkarzy, eksperymentowania, a nawet studiowania fachowej literatury. Przypuszczam, że dobry wędkarz spokojnie wzięby w telewizyjnej wielkiej grze główną nagrodę odpowiadając na temat „wszystko o rybach”.

Wędkarstwa uczę się od lat. Już jako kilkuletni berbeć biegałem z leszczynowym patykiem nad Odrę i mordowałem kielbie, ckonki jak palec i niewymiarowe płoteczki. Później, jako dwudziestolatek, spróbowałem już na poważniej na Jeziorze Sławskim. Miałem prawdziwe bambusowe wędzisko gruntowe z kołowrotkiem, łódkę do dyspozycji i niestety ojcowską kuratelę. Ojciec, który znał jezioro jak własną kieszeń, hamował moją gorączkę „nastojaszczegowo rybolowa” i krytykował niezdarne poczynania. Myślę, że i o dzisiejszych moich nawykach powiedziałby, iż nie są zupełnie lege artis. Dla przykładu chcę opowiedzieć zdarzenie sprzed trzech lat.

Z końcem lipca zjechałem wraz z przyjaciółmi nad Jezioro Sławskie na urlop. Ojciec przyjął nas gościnnie, aczkolwiek twierdził, że tego roku z rybą jest marnie. Nie przejmując się tym zbyt, niecierpliwie szykowaliśmy sprzęt na pierwszy poranny połów. Spać poszliśmy późno, więc wywlekliśmy się z łóżek dopiero skoro świt, o piątej. W pośpiechu wypiliśmy po filiżance kawy, wrzuciliśmy sprzęt do łodzi i rezygnując z połowu żywców za pomocą podrywki, wypłynęliśmy na jezioro.

Dzień był upalny i nie wróżył sukcesów. Brała, i to rzadko, tylko drobna płoć. W końcu nie wytrzymałem i z braku puszek z dżdżownicami na haczyk wędkę przeznaczoną do połowu węgorza nasadziłem dwudziestocentymetrową płoć. Wędkę zarzuciłem na głębiny położoną około trzydziestu metrów przed łodzią. Mijały godziny i w końcu zapomniałem o tej wędze. W samo południe przyjaciel zauważył branie na mo-

jej wędze. Zaniemówiłem z wrażenia, rzeczywiście coś dobierało się do przynęty, tylko co? Szczupak? Nie, niemożliwe. Raczej sandacz lub węgorz. Ale sandacz bierze tylko bardzo małą przynętę, a przecież płotka zaczepiona na hak wędkę miała dwadzieścia centymetrów długości. A więc węgorz, i sadząc po sposobie brania, chyba gruby. Pod ojcowskie dyktando pozwoliłem rybce wybrać jeszcze trochę żyłki z kołowrotka, a gdy ryba zatrzymała się, skróciłem wyluzowaną żyłkę i ostro zaciąłem. I w tym momencie stało się coś nieoczekiwanego. Suchy trzask pękającego wędziska z poliestrowej rurki (nota bene prawie nowego) kompletnie mnie zaskoczył. Kij, złamany w połowie długości między szczytową przelotką a skuwką, nie pozwalał na manewrowanie podczas holu. Czulem, że ryba idzie ostro w kierunku głębi i jedyne co mi pozostawało, to szybko holować ją w kierunku łodzi. Po kilku długich jak wieczność minutach była w pobliżu. Był to wspólny węgorz, gruby jak moje przedramię, długości na oko ponad metr. Ojciec i przyjaciel próbowali mi pomóc, ale niestety pełna wigoru i nie zmęczona ryba nie dawała się wprowadzić do podbieraka. Kilka takich prób skończyło się niepowodzeniem. W którymś momencie ryba chlasnęła ogonem o burtę łodzi i stało się to, co można było przewidzieć, uwolniła się z haka i tyle ją widziałem. Opadły mi ręce, emocja minęła, nie wiedziałem czego żałować, połamanego w drzazgi kija spinningowego czy utraconej, dla mnie rekordowej ryby.

Dziś, gdy wspominam dziwną wówczas dla mnie reakcję ojca, skłonny jestem przyznać mu rację. Ojciec ironicznie uśmiechnięty rzekł do mnie: „Ech ty wędkarzu z bożej łaski! Czego żalujesz? Jeszcze nie jeden kij połamiesz i niejedną rybę stracisz. Przecież ten węgorz to jakby skazaniec, który spod szubienicy uciekł. A w ogóle, to z ciebie żaden wędkarz. Wędkarzem będziesz wtedy, gdy ci wrona na głowie gniazdo zrobi, a ty nawet nie będziesz o tym wiedział”.

O! i cała przygoda. Powie ktoś, że to wszystko zmyśliłem, bo wędkarze to narodek o skłonności do przesady. Być może, ale jeśli mi ktoś nie wierzy — niech zapyta mojego ojca lub mojego serdecznego przyjaciela.

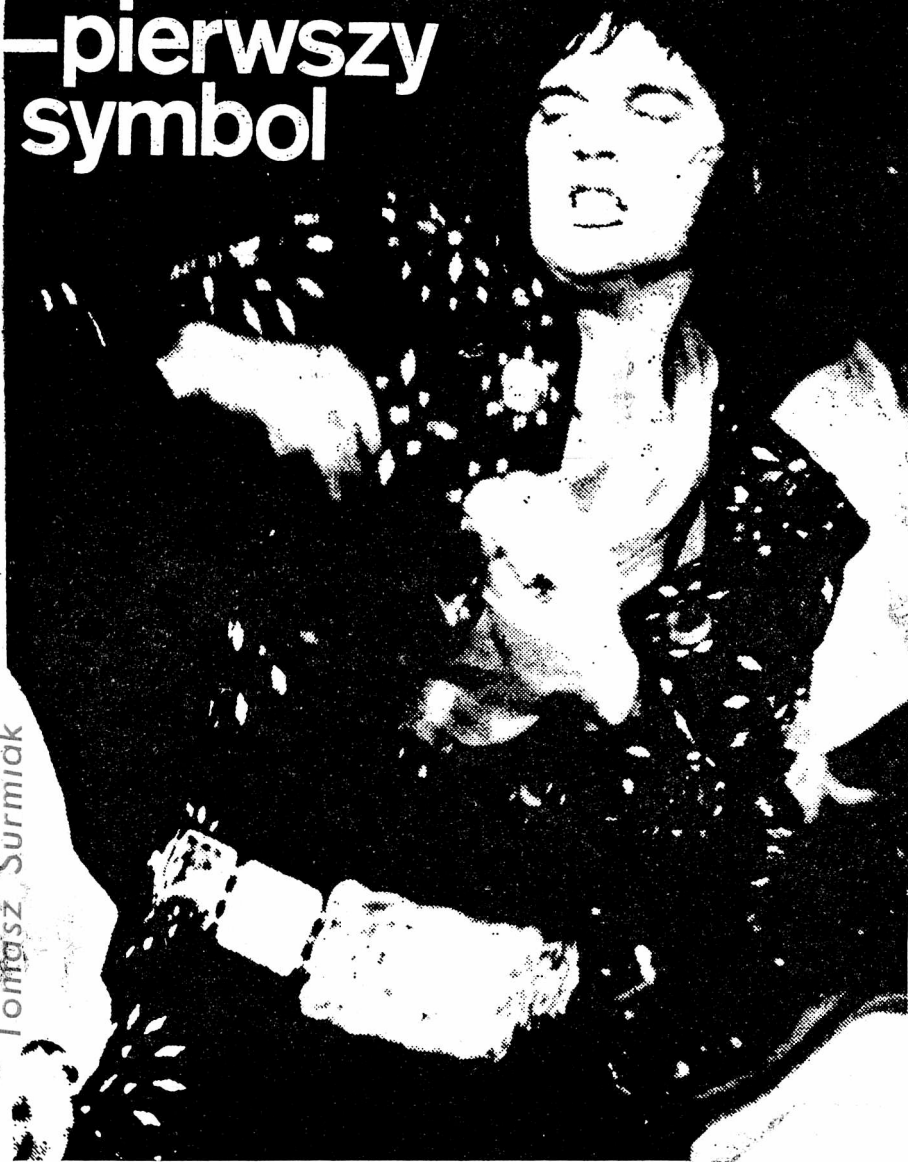


Fot. M. DANYC



Elvis PRESLEY — pierwszy symbol

Tomasz Surmiak



ELVIS PRESLEY NIE ŻYJE! JEGO ŻYCIE JEST JUŻ HISTORIA, jego kariera pięknym wspomnieniem młodości dla wielu z nas, a opowieścią taty dla innych. Elvis był i pozostał symbolem rock and rolla, wielkim młodzieżowym bohaterem końca lat pięćdziesiątych. Przypomnijmy to sobie od początku.

NOWOCZESNA muzyka młodzieżowa (inaczej popularna, obecnie zwana muzyką rockową) zaczęła się wraz z rock and rollem w połowie lat pięćdziesiątych i zasadniczo była mieszaniną dwóch tradycji: murzyńskiego rhythm and bluesa i białego, sentymentalnego śpiewu — czarnego rytmu i białej czułościowości. Pojawiły się także nowe elementy: agresywny charakter muzyki, jej erotyzm i niemożliwa hałaśliwość, które w większości pochodziły z elementu murzyńskiego. Z połączenia tych składników mogło powstać coś zupełnie głupiego, jakaś krótkotrwała moda i trzeba zwrócić uwagę na pewne niemuzyczne fakty, które uczyniły z rock and rolla rewolucję.

Zasadniczo wszystko sprowadzało się do tego, że przy pełnym zatrudnieniu młodzież — przede wszystkim biała młodzież — miała pieniądze i mogła je trwonić. Istniała jednak przeszkoda — nastolatki nie znajdowały absolutnie niczego na co mogłyby wydać te pieniądze. Nie miały swoich ubrań, klubów, żadnej odrębnej tożsamości. Stawało się to nie do zniesienia.

Z drugiej strony businessmeni nigdy przedtem nie uważali młodzieży za niezależną jednostkę konsumpcyjną, mającą potrzeby i gusty całkowicie odmienne od reszty społeczeństwa. Nowe możliwości uderzyły ich jak prorocze wizje i ... zadziałali szybko. Jak można było przewidzieć, nastolatki kupowały wszystko, co przed nimi postawiono — motocykle, dżinsy, olejki do włosów,

koktajle mleczne, a przede wszystkim muzykę. W muzyce istniał problem, gdyż wytwórnie płytowe nie miały pojęcia, czego pragnęłaby młodzież. Wypuszczano po prostu coraz więcej hałasu, aż w końcu, w kwietniu 1954 roku, podstarzały piosenkarz Bill Haley nagrał płytę „Rock Around The Clock”. W 1955 roku stała się ona przebojem w Ameryce, potem w Anglii, potem na całym świecie. Płyta pozostawała na listach przebojów przez pełny rok, sprzedano piętnaście milionów egzemplarzy. Piosenka ta zaczęła wszystko.

Bill Haley był dużym, puciułowatym mężczyzną o twarzy dziecka. Miał wówczas prawie trzydzieści lat, był żonaty, posiadał pięcioro dzieci — nie nadawał się zbyt do odgrywania roli bożyszcza nastolatków. Rock potrzebował prawdziwego bohatera, który skupiłby młodzież wokół siebie. Kogoś bardzo młodego, jedynego — na wyłączną własność nastolatków — kogoś, kto skryształizowałby cały ruch, nadał mu wielkość i kierunek. Bill Haley nie nadawał się do tego, Elvis natomiast tak.

Elvis jest więc tam, gdzie rock zaczyna się naprawdę. Przed nim rock był gestem bliżej nieokreślonej rebelii, natomiast gdy wypłynął Elvis, rock natychmiast stał się mocny, trwały i samowystarczalny, potem wytworzył swoją modę, język, erotyzm, prawie całkowitą niezależność — wszystkie te rzeczy, które później uważano za naturalne.

Elvisa odkryto gdy nagrywał dla swojej matki amatorską płytę „My Happiness” (Moje Szczęście). Później podpisał kontrakt z lokalną wytwórnią „Sun Records” i znany był na prowincji wokół Memphis (śpiewał na zabawkach szkolnych i miejscowych jarmarkach). Od maja 1955 posiadał menażera, pułkownika Toma Parkera (tytuł jest honorowy). Pod jego kierownictwem Elvis ruszył w górę. Jego płyty sprzedawano wokół Memphis wolno, ale dobrze i dziewczęta zaczynały krzyczeć na jego widok. Na występach poruszały biodrami w przód i w tył, wili się, a za każdym razem, gdy to robił, publiczność szalała.

Na początku 1956 roku Elvis podpisał kontrakt z wytwórnią RCA-Victor i nagrał płytę „Heartbreak Hotel”. Błyskawicznie sprzedano półtora miliona egzemplarzy. W ciągu następnych sześciu miesięcy rozeszło się osiem milionów jego płyt, a wielbiciele przysyłali tygodniowo dziesięć tysięcy listów. Elvis wzniesił najdłuższą młodzieżową histerię, a przy okazji, do końca 1956 roku, stał się firmą o rocznym obrocie 20 milionów dolarów. Wjeżdżał na scenę stojąc na złotym Cadillacu, nosił złote ubranie, a na nogach miał złote pantofle. Baczki sięgały mu poniżej uszu, a włosy ciężkie od brylantyny sterczały z tyłu jak kaczy kuper. Gdy rozpoczynała się muzyka, Elvis wili się tak mocno, że parę miast zakazało jego występów, bo były nieprzyzwoite. „Elvis Presley jest moralnie obłąkany” krzyczał baptystowski pastor w Des Moines, i to podsumowuje wszystko. Był ekscentryczny, miał cztery Cadillacy, trójkątowego Messerschmidta, dwie małpy, mnóstwo biżuterii. Kupił sobie dom za sto tysięcy dolarów, dom który w ciemności błyszczał złoto i niebiesko.*

Śpiewał rock and rolla. Była to bardzo prosta muzyka. Liczyły się tylko: hałas, rytm, agresja, nowość. Teksty składały się ze sloganów, będących o krok od głupoty, ale nie była to ani głupota, ani niemożność napisania cze-

gość lepszego. Powstał rodzaj młodzieżowego kodu, prawie język znaków, co uczyniło z rocka rzecz zupełnie niezrozumiałą dla dorosłych. U podłoża wszystkiego leżał sex. Piosenkarze poprzednich pokoleń mogli posiadać wielki sex appeal, ale musieli go ukrywać pod płaszczykiem romantycznych ozdób. Elvis, przeciwnie, był krzykliwy, rażący. Kiedy jego biodra zaczynały wykonywać ów ruch, do przodu, do tyłu, do przodu, kończyły się piosenki o księżycu i trzymaniu za rękę, a zaczynała się twarda rzeczywistość.

W tym samym czasie poza sceną Elvis czytał Biblię, kochał swoją matkę. „Jest jak kieszonkowa powieść” — wyjaśniła jedna z jego wielbicielki — „Na okładce erotyczny obrazek. Ale w środku normalna powieść”. Wyglądał niebezpiecznie, ale naprawdę był bezpieczny i czysty. Tego właśnie zawsze oczekiwały młode dziewczęta od swoich idoli — iluzji niebezpieczeństwa — i Elvis wniósł do tej gry nowy dreszczyk półrzeczywistości.

Do 1958 roku Elvis Presley był bossem rock and rolla i nie było żadnych oznak zmniejszania się hysterii. Nakręcił parę filmów. Nagrał dwadzieścia światowych przebojów, każdy w nakładzie większym od miliona. Miał jednakże pewien problem na przyszłość. Był już w wieku 23 lat i nie mógł wiecznie trwać jako bożyszcze nastolatków. Trzeba było go w jakiś sposób przekształcić z młodzieżowego rebelianta w powszechnie szanowaną figurę showbiznesu, tak aby wielbiciele nie poczuli się oszukani. W tym momencie spadł dar z nieba — Elvis dostał pozwolenie do wojska. Dwa lata służby oznaczały stratę kupy pieniędzy, co Elvis przyjął filozoficznie. Natomiast pułkownik Parker był zachwycony. Od tego czasu Elvis stawał się coraz bardziej światobliwy. Podczas ćwiczeń wojskowych był wzorem pilności, zadowolenia i pokory. Oficerowie chwalili go, prasa zaczęła go popierać, Ameryka dorosłych uspokoiła się — potwór pokazał, że przedtem jedynie blagował.

Po zakończeniu służby wojskowej Elvis nie powrócił na szlak. Większość czasu spędzał na produkowaniu kolejnych, nudnych, prawie identycznych musicali — a każdy z nich wydawał się słabszy od poprzedniego. Przekroczył trzydziestkę i utył. Jego głos utracił ostrość, piosenki były łagodne, bez pieprzu, filmy ledwo trzymały się kupy. Nie miał żadnego kontaktu z publicznością — równie dobrze mógłby żyć na innej planecie. Od czasu do czasu posyłało złotego Cadillaca Elvisa na obwód Ameryki i wielbiciele tłumnie przybywali, by go dotknąć. Sprzedał sto pięćdziesiąt płytę i zarobił setny milion dolarów. Najważniejsze, że umknął w górę wszelkiej krytyce, odszedł gdzieś poza ludzki zasięg, na górę nietykalności w showbiznesie.

Oczywistym odpowiednikiem Elvisa był Frank Sinatra — obaj tak bardzo się zmienili, zarobili astronomiczne sumy pieniędzy, zdominowali świat rozrywk swoich czasów i właściwie nieistotne było ich dalsze postępowanie w życiu. Wzbili się ponad wszystko i im mniej manipulowali swoimi mitami, tym lepiej robili. Dobrze rozumiał to pułkownik Parker i dlatego właśnie trzymał swego chłopca w ukryciu, z dala od niebezpieczeństw. Przeżył jedynie obraz Presleya, przeblysł tego, jakim był w wieku lat 20—22, Presleya pysznącego się, wijącego na scenie, jadącego na złotym Cadillacu — złoto, złoto! Wtedy był wspaniały i od tego

momentu jego historia wyglądała jak ostrzegawcza opowieść Hollywoodu o tym, co się dzieje z małymi, erotycznymi chłopcami, kiedy zasilają maszynę do robienia supergwiazd.

Elvis stał się bóstwem — niewidocznym, nietykającym, czymś więcej niż istotą ludzką. Jego oddalenie było zaletą, artystyczne błędy — obojętne, i wydawało się, że nie ma powodów, dla których miałyby się coś zmienić. Mimo wszystko, koło roku 1968, nastąpiły zmiany. Elvis zaczął wkładać więcej wysiłku w nagrania i miał nieco piosenek dorównujących starym przebojom. Jego głos brzmiał ostrzej, on sam schudł i zapuścił dłuższe włosy. W końcu powrócił do występów na scenie, dał szereg koncertów w Las

Vegas i prawie całkowicie zrehabilitował się.

Od tego czasu jego rozwój stał się nierówny. Wydawano znów lurowate ballady, ale między złymi płytami były też dobre, a na scenę powrócił stary, dobry potwór. I kiedy wydawało się, że już wiemy, czym jest i czym będzie Elvis Presley, nadeszła wiadomość o jego śmierci. Jego życie natychmiast stało się legendą, legendą masowej kultury drugiej połowy dwudziestego wieku.

TOMASZ SURMIAK

*) Były to czasy, gdy wszystko było tańsze. Dom Boba Dylona kosztował dwa miliony dolarów.

collage

PRÓBOWAĆ RACJONALNYMI kategoriami pojąć to, co Helmut Kajzar — autor spektaklu, a zarazem jego inscenizator — opatrzył „trzema krzyżykami” — znaczący wdać się w repetytorium z sytuacji i znaków kultury i cywilizacji. Bo i czego tu nie ma? Jest i narrator (niby-Pierrot „Śmieć się, pajacu”, niby-komentator czegoś w rodzaju antycznej tragedii), i kurant z Moniuszkowskiego „Strasznego dworu”, i czaszka — rekwizyt z Szekspira, i pucybut nucący bluesa, i brutalne przesłuchiwanie podejrzanego. Jest też ni-to klinika psychiatryczna, ni-to więzienie, przywołujące na myśl „Salę numer 6” Czechowa. Jest i aluzja do słów: — „Z czego się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie!” Gogola.

Ten — zdawałoby się — alogiczny „afabularny” ciąg sytuacji, obrazów i znaków ma jednakże pewien sens i — jak chociażby improwizacja jazzowa — pewną swą logikę. Wszystko to układa się bowiem w „collage” zjawisk kultury i cywilizacji, stawiając na współczesnym człowieku lat sześćdziesiątych naszego stulecia swe piętno. Kajzar dąży do stworzenia syntezy obrazu współczesności; spektakl rozpoczynający się przejmującą sceną konającego w konwulsjach człowieka kończy rozmowa dwóch pogodnych starszych pań chcących poczęstować czekoladą napotkaną parę zakochanych.

Autor sztuki stara się przemówić do widza nowocześniejszymi środkami wyrazu i może właśnie dlatego nie stroni od dosadności i obsceny (dialog prowadzony na sedesie, czy piosenka ni-to więzienna, ni-to żołnierska). Jednakże — w rezultacie — o latach sześćdziesiątych naszego stulecia wyraża się w taki sam sposób, jak Majakowski przedstawiał Rosję lat dwudziestych w „ferycznych komediach”, czy też jak o latach trzydziestych mówili Gombrowicz i Witkacy. W poetyce dramatu Kajzara symbolizm, futurizm i ekspresjonizm splatają się, tworząc „collage”. Jaki to ma sens — autor, mimo wyraźnej programowej wymowy sztuki, nie dopowiada, zaledwie „ogląda” epokę lat sześćdziesiątych, nie komentując.

Utwór ten mimo to oddziałuje niezwykle sugestywnie; nastrój napięcia emocjonalnego wypełnia każdą sekwencję, dominuje. Oto jesteśmy wprowadzeni w klimat monstualnego miasta-molocha, zagrażającego harmonii osobowości człowieka („anturbanizm à la Verhaeren czy Majakowski”, gdzie wszystko staje się ekstremalne, na granicy równowagi psychicznej i dewiacji, gdzie wszystko w gruncie rzeczy jest grą i udawaniem. W takim świecie pojawia się Bezimienny — nosiciel „dobrych” a właściwie człowiek, o którym nie wiadomo, czy może zagrażać ładu społecznemu i politycznemu, i dlatego można by go uznać za piewę rewolucji (społecznej, politycznej, a może obyczajowej), czy — wręcz przeciwnie — jest tylko biernie patrzącym na otoczenie „ogładcem”.

Kajzar — dramaturg — bezsprzecznie zna i „czuje” teatr. Ten moralista problemów współczesnych nie przemawia jednak własnym głosem, a cytując innych, robi aluzje do różnych stanowisk i nawiązuje do innych poetek przekazu artystycznego. Widz nie wszystko — niestety — rozszyfruje, bo i nie nadaży, i nie wszystko staje się dlań równie czytelne.

Kajzar — reżyser — jest sprawny, pełen inwencji twórczej. Spektakl przez cały czas trwania ma dobre, nie słabnące tempo. Znakomicie ułożony ruch sceniczny wyraźnie inspirowany tradycją Grotowskiego i Tomaszewskiego. Aktor jest znakomicie prowadzony. Ano właśnie „Kierc”.

Z całej obsady będącej na dobrym, wyrównanym poziomie, wyróżnia się niewątpliwie Bogusław Kierc w roli Bezimiennego. Odnosi się wrażenie, iż „trzema krzyżykami” to sztuka specjalnie dla niego napisana, uwzględniająca — nareszcie, bodajże po raz pierwszy w pełni — predyspozycje tego utalentowanego artysty o bogatym wnętrzu (notabene także poety i autora interesującego szkicu o literaturze).

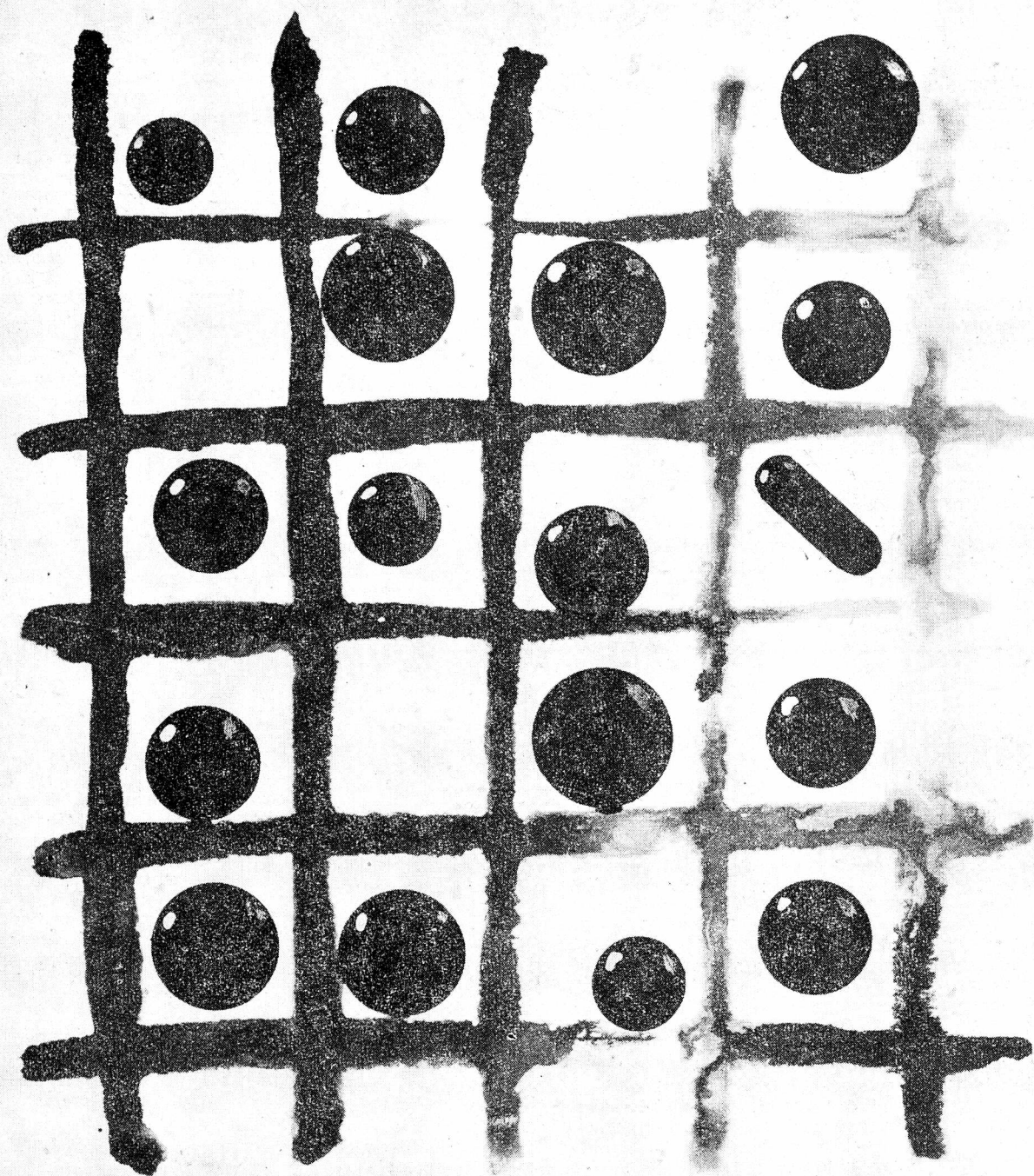
Jak dawniej, za czasów Modrzejewskiej, Messalki czy Solskiego, szło się do teatru „na aktora” — naprawdę warto wybrać się do „Współczesnego” na brawurowy popis aktorstwa Bogusława Kierca, podpisującego się zawartymi w tytule — „trzema krzyżykami”...

CZESŁAW PANEK

Helmut Kajzar. „+++ (trzema krzyżykami)”. Reżyseria Helmut Kajzar. Scenografia Krzysztof Zarębski. Muzyka Stephen Montague. Ruch Wojciech Misiuro. Teatr Współczesny we Wrocławiu. Premiera 29. X. 1977 r.

Sigma prezentuje

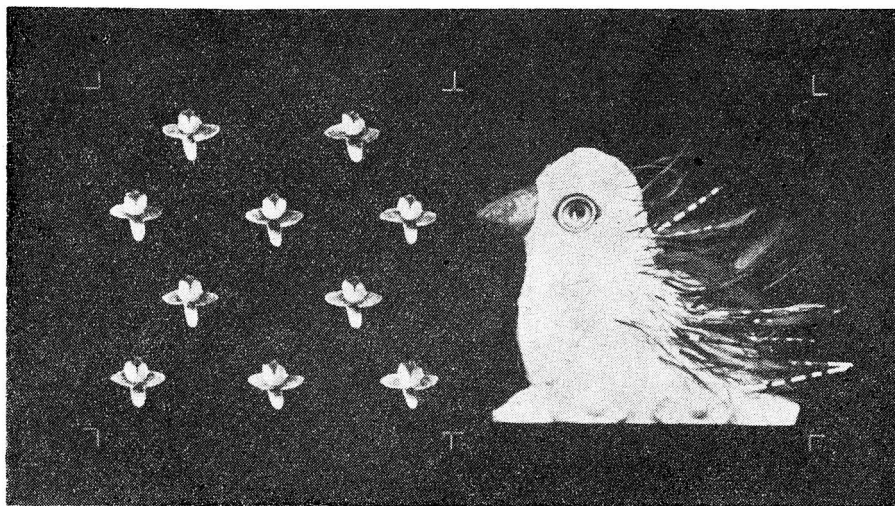
ANDRZEJ KLIMCZAK-DOBRZANIECKI absolwent wrocławskiej WSSP. Dyplom w pracowni prof. Eugeniusza Gepperta uzyskał w 1970 r. Uczestniczył w wielu wystawach w kraju i zagranicą. Zorganizował kilka wystaw indywidualnych malarstwa i rysunku.



A. Klimczak-Dobrzaniecki 77

"Rysunek czarny"

artystyczna kronika młodych



ROBERT KNUTH — grafika

Fot. J. LAJSTOWICZ



Foto-Collage Józefa Liebersbacha — z wystawy w Klubie Dziennikarza

WYSTAWY GRAFIKI

W listopadzie czynna była wystawa grafiki Roberta Knutha. Autor, urodzony w 1952 r. studiował w latach 1972–77 Architekturę Wnętrz, Grafikę Użytkową i Malarstwo w PWSSP w Gdańsku. Obecnie mieszka i pracuje w Warszawie.

Wystawy indywidualne:

- Galeria „Żak”, Gdańsk 1972 r.
- Galeria „Stodoła”, Warszawa 1972 i 1976 r.

Udział w wystawach:

- „Żyjnia” — Galeria „STU”, Kraków 1977 r.
- „Skrzydła i garby” — Galeria „STU”, Kraków 1977 r.



W styczniu można jeszcze obejrzyć wystawę grafiki Krystyny Piotrowskiej z Poznania.

Rok urodzenia: 1949.

Studia:

- ASP Kraków, Wydział Architektury Wnętrz. Dyplom w 1972 r.
- PWSSP Poznań, Wydział Grafiki. Dyplom w 1975 r.

GALERIA PLASTYKI



„KALAMBUR”

Wystawy indywidualne:

- Galeria „OD NOWA”, Poznań 1975 r.
- Galeria „FIAP”, Paryż 1977 r.
- Galeria „ON”, Poznań 1977 r.
- Udział w wystawach:
- Międzynarodowe Biennale Grafiki, Kraków 1976 r.
- Międzynarodowe Biennale Grafiki, Bradford 1976 r.
- Międzynarodowe Biennale Grafiki, Ljubljana 1977 r.

laj.

Kiedy daty pełnią funkcję numerów

NA DEBIUT poetycki Andrzeja Raczyńskiego składa się 45 wierszy, na ogół pozbawionych tytułów, zaopatrzonych natomiast w daty, które z racji układu graficznego pełnią funkcję numerów. Numery, liczby, przydają charakteru anonimowości, nieobecności, abstrakcji. Numery, które nie wyznaczają kolejności, właściwego miejsca rzeczy, nadają im charakter wyrwykowości—fragmentowości. I taką widzi mi się całość — jako zbiór wierszy—fragmentów, poetyckich przypadków, notatek wyrwykowo sporządzonych z rzeczywistości. Taki sposób tworzenia ma swoje, oczywiście, dobre i złe następstwa. Dobre, gdyż konsekwencja formalna narzuca spójność całości, i pozwala ją, jaką taką, odbierać. Złe, ponieważ wyrwykowość i przypadko-

wość poszczególnych wierszy, przy analizowaniu ich, każdego z osobna, rozbija, wpływa destrukcyjnie na całość, od wewnątrz jakby, od środka. W rezultacie pozwala odczytać treść, która unosi się ponad lub istnieje między słowami, przecucie treści raczej, wynikające z istnienia sygnałów, znaków, lecz istniejące mimochodem, sobie, a nie dzięki rzeczywistej pracy autora.

Większość z tych wierszy składa się z ułamkowych spostrzeżeń, pomysłów zaledwie, mniej lub gorzej „sprzedanych”, rzadko zdecydowanie ujętych w formę artystyczną. Raczyński przerywa się od słowa poetyckiego, metafory, do bardzo mocno sprozaizowanego języka, czasem nawet korzysta z oryginalnych, jak sądzę, tekstów, będących owocem urzędniczej kultury, polityki, itp. Poprzez skreślenia, ominięcia, zrzeczne zestawienie słów, udaje mu się uzyskać efekt, przyznaję, dość interesujący. Nic z tego oczywiście nie jest nowością, niemniej, niezbyt wiele było udanych utworów tak skonstruowanych, więc te nie sprawiają wrażenia łatwego korzystania z efektownej techniki i powielania utartych wzorów.

Niedopowiedziany, urywany, nerwowy rytm tych „zapisów” przyciąga czytelnika, nadaje im siłę, stanowi o ich efektywności. Nie może jednakże służyć uczucia braku obecności rzeczywistych problemów, dogłębnego odczytywania egzystencji ludzkiej, jednostkowej i społecznej. Raczyński wdaje się we „flirt” z tym, co powierzchowne, z tym, co na wierzchu świata, „flirt” niemalże salonowy, kawiarniany. Udział autora „Racji oborowego Krawczyka” w życiu dziennym i nocnym naszego kraju i jego mieszkańców, w życiu swoim nawet, jest pozorny, widzenie jego jest widzeniem przyczynkowym, chimerycznym.

Niemniej, mimo wielu zarzutów jakie usiłowałem postawić Raczyńskiemu, i mimo wielu, które można by jeszcze powołać, sądzę, że jest to poezja interesująca, posiadająca swój własny ton, którego tak często brak w debiutach (i nie tylko!) wielu poetów, sprawniejszych być może w swym poetyckim rzemiośle niż autor wymieniany powyżej.

M. RATAJCZAK

SIEDEM BEZSENNYCH LAT

zasnąłem

— było to tydzień temu —
i ujrzałem jak stoisz i rośniesz
aż oczy zaćmione oblokami przestawały widzieć
lecz wzrost wciąż trwał
i wyteżały się wszystkie mięśnie w walce
z szalonymi obrotami nieba
aż zaćmione oczy odnalazły tajemną nocną drogę
słońca
które cicho szeptało:

— strzeż się nadziei —

a ty będąc przy nadziei poczerwieniałaś i zbladłaś
i już był wschód słońca
ale Ty
wciąż jesteś a dzień
to tylko Twoja nagle pobladła twarz

TRZECIA TWARZ

na parę minut przed 25 spotkałem tych dwóch
jeden wyciągnął z płaszcza

— a był to płaszcz Prospera —

maskę

„jeżeli widzisz swoją twarz
to zły znak — będziesz jeszcze trzy razy

jeżeli siebie nie widzisz
to jeszcze gorszy — już cię nie ma”

drugi trwał w uśmiechu
księżycem w pełni milczącego światła
i zbliżał się do mnie
papierosa gwiazdą podpalił
i dymem dmuchnął w oczy
aż mi lzy stanęły i zrozumiałem
dlaczego widzimy tylko jedną twarz



zamknąłem oczy

piasek rozwinął skrzydła i rósł wysoko ptakiem
do nieba

aż ludzie o niebieskich oczach ślepli
przytulali się do kobiet ze złota ryzykując katarem
marzły im ręce

i nie mogli utrzymać w dłoniach księgi
której oryginał jest w niebie
ale chcieli wrócić do słów
większych niż pierwszy śnieg i ostatnia jaskółka
wyjąc je zza wciąż przedostatniego skurczu
ale czymś więcej od w poprzek żył lekko wyważonym
ruchem

lecz piasek trzeszczał pod skórą
wypełniał wszystkie szczeliny ciała
i płynąc szkłem w żyłach ostrą krawędzią rozcinał

otworzyłem oczy

wiatr trząsał piaskiem w szyby

PRZESŁANE WŁADCY MUCH

oto odchodzi Władca Much

i już nic nie widzę, bo światło gnije w jego oczach
aż urywają się moje sny
aż świetlistość ciała ustępuje żarłocznej ciemności

oto żegna nas Władca Much

z uśmiechem wkłada w nasze usta fałszywą monetę
księżycu

a wszystkie słowa przez nas krzyżane gwałtem
umierają w jego uszach

aż jesteśmy nadzy i drżący

oto Władca Much odwraca się, aby przejść przez wszystkie
granice
jest już coraz dalej i z ostatniej granicy snu otwiera
do nas usta

a zamiast słów zrywa się cisza

i jest to jedyne prawdziwe posłannictwo Władcy Much
ostatnie ekstatyczne posłannictwo, posłannictwo
które teraz pędzi przez wszystkie tunele i mosty
aby ujrzyć Cię po ostatnim znaku
wiersza

Iwona Opoczyńska

Ząb

Portfel znalazłam pod szafą zawinięty w gazetę. Była w nim mała małpka z plastiku. Ucieszyłam się — będę miała swój amulet.

Wzięłam żyłkę, aby dokonać sekcji znaleziska. W pierwszej warstwie portfela, między skórą a tekturą ujrzałam inny znany mi rodzaj talizmanu. Trzonowy ząbek. Identyfikacyjny miał mój braciszek, który kolekcjonował mleczne zęby. Grzechotał nimi bardzo często, ponieważ trzymał je wszystkie w pudełku od zapalek.

Przyłożyłam znaleziony ząbek do śladów na nodze od szafy, nie pasował.

— On jest zdrowy, to ty masz niespokojne sny, często krzyczysz.

— Ależ mam, on wstaje w nocy, kiwa się na łóżku.

Ząb podany na talerzyku deserowym. Po raz pierwszy stało się to dobrych parę lat temu. Jedliśmy razem podwieczorek. Ugryzłam świeże pachnące ciasteczko i wypułam trzonowy ząb mego braciszka.

— Opanuj się, dziewczyno to przecież drewno.

— Mam. on rozsypał swoje zęby w kuchni.

Od tego dnia często znajdowałam małe, białe, ładne ząbki nie tylko w jedzeniu. Były we wszystkich możliwych miejscach w naszym mieszkaniu.

— Moja córka mówi, że on ciągle rysuje zęby. A co w tym złego, czy dzieciom nie wolno rysować tego, na co mają ochotę. Dobrze, że nie wypisuje brzydkich słów.

Mój brat nie mieszka już w domu. Skończył studia, pracuje. Nawet się ożenił.

— Mam, znowu znalazłam kiel. Dlaczego on ciągle rozrzuca te zęby?

— Przecież wiesz, że trzymał je zawsze w pudełku od zapalek i dawno już się nimi nie bawi, nie grzechocze.

Zaglądam między następną warstwę tektur w portfelu znalezionym pod szafą. Nie ma w nim nic. Powinno tam jednak coś jeszcze znaleźć. Ojciec, gdy był ostatni raz w domu, szukał go po wszystkich kątach. W portfelu miał swój mały amulet podarowany przez kochankę. Ojciec był przesądny. Martwił się, że zostawia nam swój talizman.

Matka także interesowała się portfelem.

— Listy miał schowane w środku, pomiędzy warstwami tektury, a skórą — mówiła mi.

— A tu nic. Puste kawałki sztywnego papieru.

Dzwonek do drzwi. Przyszła matka. Mieszkamy teraz tylko we dwie. Muszę jej pomóc przygotować obiad.

— Czy wiesz, że twój brat znowu zdobył nagrodę państwową. Za wybitne osiągnięcia naukowe w dziedzinie stomatologii.

— Tak, u niego nawet w gościnnym pokoju na ścianie wisi obraz wielkiego trzonowego zęba.

— Co ty gadasz, przecież jedynie w gabinecie ma fachowe rysunki na ścianach. Poza tym powinnaś się do niego wybrać, żeby ci wreszcie zaplombował tę dziurę. Mieć brata wybitnego stomatologa i chore zęby.

Jemy z mamą obiad i wiem co będzie dalej. Zapomniałam schować portfel.

— Gdzie go znalazłaś, ach tak, szukałaś listów, oddaj go, nie będziesz ich czytać.

Matka wyciąga tekturki, sylabizując coś półgłosem i kiwa głową.

— Do niej też mówił kruszynko, bydlę.

— Ale przecież tam niczego nie ma, mam.

Matka ścisła w dłoni puste kartki, wychodzi z pokoju.

Opowieść o Perorku

PEROREK stuknął głową w siedzenie krzesła. Wsunął łepkę w otwór. Z kącików ust ciekła mu ślina. Perorek był dumny, zwyciężył taki problem. Ponad powierzchnię siedzenia wystawała jego wdzięczna główka.

Swoje dylematy pokonywał nieregularnie: raz w miesiącu, raz na trzy dni.

W drugim krześle też wywiercił dziurę. Znowu miał przetarty szlak. Perorek trzymał łebek nad powierzchnią wypływał dywagacje. Nie zapomniał o obserwacji otoczenia.

Po pewnym czasie przesunął się w inny kąt pokoju. Musiał wreszcie pokonać blat od stołu. Cóż to był za wysiłek, koncentracja woli, skrajne wyrażanie.

— Przebił się proszę państwa, przebił.

Ślina kapła mu z ust i z nosa. Wyścieńczony tułów, kończyny Perorka drgały konwulsyjnie. Z główki nadbrzmiały wysiłkiem tryskała fontanna plwociny. Okraszała mu mowę.

Młoda żona wycierała frotową ściereczką ślinę po Perorku.

— Strasznie się ekscytujesz — powiedziała.

— Kiedy będziesz miała tyle lat co ja, zmienisz poglądy — mówił Perorek — laureat nagrody w dziedzinie zwalczania filozoficznych problemów otworów w krzesłach.

IWONA OPOCZYŃSKA

Jak trąba pokonała flety

JEREMIASZ twardy grał na trąbie, płynęły tony kociej muzyki. Płasała Pigwa w brązowej sukience. Jeremiasz twardy nadymał policzki, wąsy spływały mu równo do kolan. W złotych lakierkach Pigwę oszołomił, tańczyła do utraty tchu.

— Jeremiaszu przyłóż im — wykrzykiwała.

Bowiem grajek pokonał ośmiu konkurentów. Pigwa śmiała się ordynarnie, a Jeremiasz rznął na trąbie.

Aż cegły posypały się z niedokończonoj budowy, aż pękła szyba w przejeżdżającym tramwaju, aż zachwiał się ślup wysokiego napięcia.

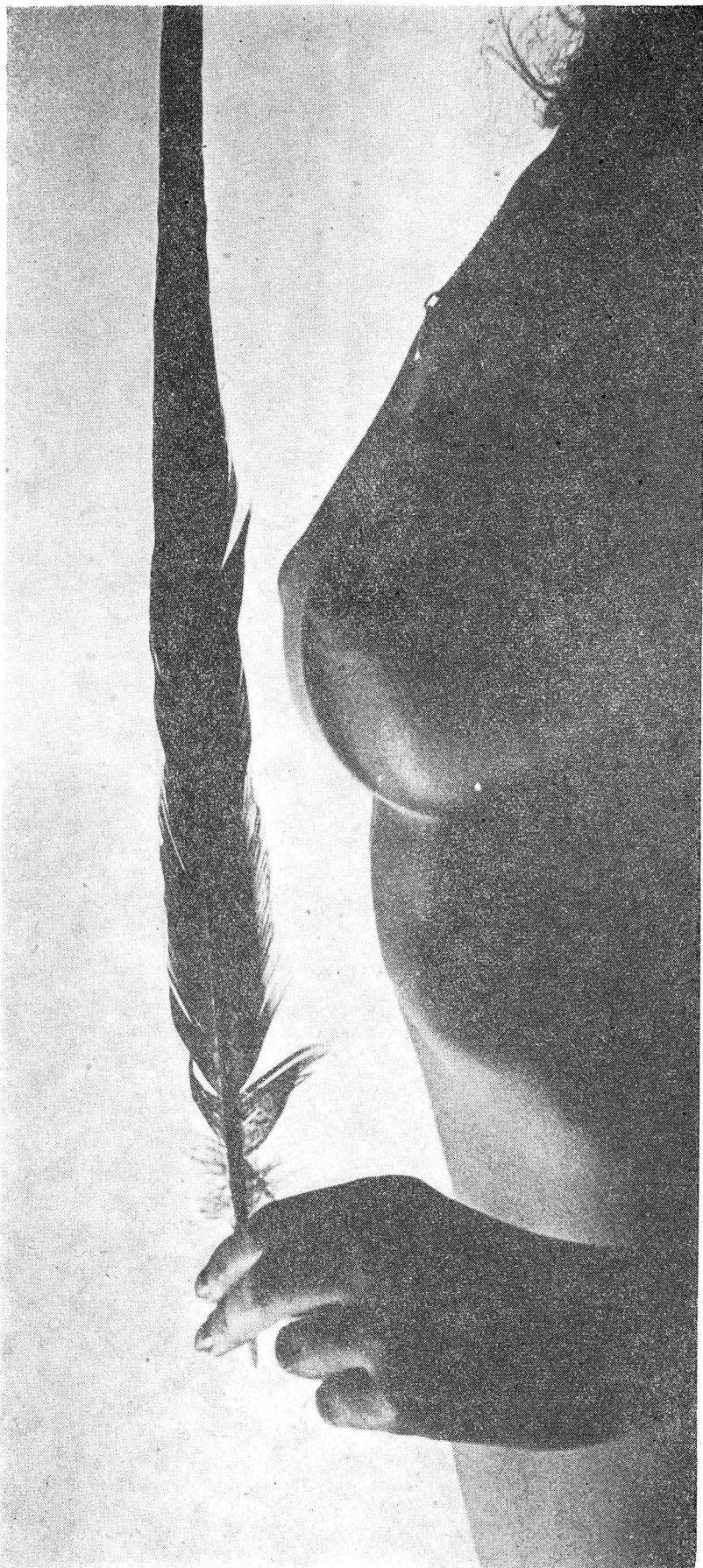
Ośmiu konkurentów podglądało zza krzaka.

Jeremiasz twardy nadymał policzki i trąba gdzieś znikła, wziął Pigwę za kark. Ośmiu konkurentów skradło się za nimi, Pigwa wirowała w objęciu Jeremiasza. Wąsy spływały mu równo do kolan, a złote lakierki walczyły z kurzem.

Ośmiu konkurentów złożyło na ziemi osiem fletów. Jeremiasz osobiście polał je benzyną, Pigwa przytknęła zapalnik.

I jeszcze długo tańczyli przy echu kociej muzyki — Jeremiasz twardy, Pigwa, ośmiu konkurentów.

IWONA OPOCZYŃSKA



Fot. M. GROTOWSKI

Na okładce:

rysunek Andrzeja Klimczaka-
-Dobrzanieckiego

Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław, ul. Z. Janiszewskiego 14; pok. 14/15, tel. 202-240 (w. 22-40); poczta wewnętrzna: P-9(S). Redaguje zespół w składzie: GRZEGORZ DĄBROWSKI, JERZY GIRULSKI (redaktor naczelny), LECH ISAKIEWICZ, MACIEJ KAŁUSZYŃSKI, MAŁGORZATA KRAMKOWSKA, JAN KUROWICKI (z-ca redaktora naczelnego), MARIA MARCOLLA (sekretarz redakcji), MARIA PLUTA, ANDRZEJ SAJ, STANISŁAW SEMICZEK-SZULC, MAREK J. SZEWCZYK, TOMASZ WIELICKI. Opracowanie graficzne: STANISŁAW RYSZARD KORTYKA, przy współpracy ANDRZEJA KLIMCZAKA-DOBZANIECKIEGO. Redaktor techniczny: HILARY NOWOTKA.

Henryk Jagodziński

PRZEBŁYSKI

Wymyśliłem sobie ideę nie po to, aby świecić przykładem, ale by z niego korzystać.

Mamy wrogów, którzy nam szkodzą i przyjaciół, którzy nam nie pomagają.

Kiedy dojdziemy do tego, by wystarczy nam dowód nietożsamości, aby nie był potrzebny dowód osobisty?

Najbardziej styczna jest prosta leżąca na drugiej prostej.

Treser musi być odważniejszy niż lew — dlaczego lwy nie są treserami?

Taki winien być żart w cyrku: muśnięcie nogą.

Nie jeden jeździec pędzi szybciej do żłobu niż jego koń.



Fot. J. LIEBERSBACH

Czy tak musi być?

PERON oddychał własnym rytmem, chociaż nie można powiedzieć, aby oddech miał świeży. Czekałem na przyjazd pociągu, wsłuchując się w przystojny, damski głos płynący z megafonów; pociąg dalekobieżny z Lublina jest opóźniony około 120 minut (dlaczego nie dwie godziny?) Bum! Pociąg osobowy do Poznania jest opóźniony około 20 minut. Bum! Milicjant zgłosił się na peron czwarty. Bum! Opóźniony pociąg z Krakowa do... (nie pamiętam) wjedzie na tor 3 przy peronie 2. Bum!

Nie ma zasp, nie ma szczytu przewozowego, a są spóźnienia, co z kolei nie przynosi zaszczytu kolei. Czyżby pociągi jeździły własnymi drogami? Jak pomóc PKP? Skoro wiadomo, że ten z Lublina regularnie spóźnia się od 60 do 120 minut (czyt.: od jednej do dwóch godzin), należy wprowadzić pewne modyfikacje. Moja pierwsza propozycja — zmiana rozkładu jazdy; przyjazd pociągu 18,00—20,00. Moja druga propozycja: założyć przyjazd pociągu na godzinę 20,00 i wtedy będzie pole do pochwały i ludzie będą zadowoleni z przedterminowego przyjazdu pociągu. Moja trzecia propozycja — ogłoszenie: „WEJŚCIE NA PERONY Z ZEGAR-KIEM — WZBRONIONE!”. To był tylko prolog do wesołej jazdy. W przedziale zająłem miejsce obok Swawolnego Dy-zia, jego żony i potomstwa oraz innych pasażerów. Swa-wolny Dyzio należał do gatunku dyktatorów w elastycznych koszulach, chabrowych marynarkach, którzy w podróż lu-pują paczkę „Marlboro”, chociaż zawsze palą „Klubowe”. Dyzio już po chwili dał o sobie znać, otwierając szeroko drzwi, narażając współpasażerów na powstały mroźny ze-firek. Zefirek nie wystarczył Dyziowi. — Dyzio otworzył również okno, mimo ogólnej dezaprobaty. Po błagalnym spojrzeniu żony Dyzio wyjawiał swój punkt widzenia: „Jest smród i tak musi być!”. Nie byłoby w tym nic dziwnego, jednak muszę wyjawić, że właśnie Dyzio się pocił, Dyziowi było gorąco i Dyzio nie był zwolennikiem dezodorantów (a szkoda). Opuściłem Dyziowy przedział, gdyż w końcu zamknęło okno, a Dyzio pocił się dalej.

Cudowne sformułowanie: „Tak musi być!” towarzyszyło mi dalej w podróży. Stałem w korytarzu obok dwóch starszych panów, emigrantów z Francji, traktujących dość ironicznie nasze pewne układy. Panowie na przemian wy-głaszali swe uwagi, kończąc je zaklęciem „Tak musi być!”, po którym następował odzew: „Tak musi być!!!” będący zarazem kluczem do śmiechu. Przy siódmym „Tak musi być!” zaśmiałem się i ja, co wypłoszyło panów z korytarza (a mówią, że śmiech zbliża ludzi). Było już pusto i śpiąco. Nastrój udzielił się również kolejarzom i z 45-minutowym opóźnieniem dotarłem do Bydgoszczy.

MAKOKO

Nowy, współczesny kryminal dreszczowo-deszczowy w odcinkach!!! George Oak-Rowski

LAŁ deszcz. Przez ciało podporucznika Węszyka przebiegł zimny dreszcz — trzeba wstawać. Starym zwyczajem zaczął dzień od gimnastyki parterowej (nazwa nie powinna czytelnika zmylić, p. por. Węszyk mieszkał na drugim piętrze). Po gimnastyce parterowej odbył walkę z cieniem. Walka miała niecodzienny charakter, gdyż po silnym prawym krzyżowym cieniu, Węszyk z niebieską oprawą oka upadł na amarantowy dywan. Zły, nieogolony, wybiegł z bramy i został zatrzymany przez funkcjonariuszy MO. Nieogolony typ, z siniakiem na oku, zawsze zwraca na siebie uwagę. Na nic zdały się wyjaśnienia, brak dokumentów i pistolet TT doprowadziły p. por. Węszyka do Komendy Dzielnicowej. Węszyk, jak to było do przewidzenia, dość szybko wykaraskał się z tych tarapatów i udał się do pracy. Nie szedł szybko, gdyż drobne boleśnie uwiierały go w bok. Warto zaznaczyć, że p. por. Węszyk miał jeszcze pół etatu w kontrwywiadzie i ćwiartkę etatu w Spółdzielni „Ochrona Mienia”. Dwie sprawy trapiły ostatnio Węszyka: awans na porucznika i sprawa aferzysty Niewiadomskiego.

Sprawa Niewiadomskiego oznaczona w aktach kryptoni-mem „X?”, zataczała coraz szersze kręgi. Niewiadomski rozpoczął swą działalność od przysłowiowej złotówki, w której wywiercił dwie dziurki i sprzedał za cztery złote, oferując ten towar w formie modnego guzika. Podrabianie zielonym długopisem jednodolarówek na studolarówki, to ciąg dalszy działalności Niewiadomskiego. Rysopis Niewiadomskiego: wzrost przeciętny, nos przeciętny, oczy przeciętne, znak szczególnie — zarobki nieprzeciętne. Węszyk w poszukiwaniu Niewiadomskiego przerzucił tony akt, przemierzył dziesiątki mieszkań, hoteli i restauracji. Niewiadomski ciągle pozostawał Niewiadomskim. Węszyk poglaskał chłodny TT i ciepłej zrobiło się mu na duchu. Myliłby się czytelnik są-dząc, że mierne wyniki są pracy Niewiadomskiego. Szuka-jąc aferzysty Węszyk przyczynił się do wykrycia tajnej bim-browni w technikum chemicznym, unieszkodliwił bandę przemytników, która ustawicznie przemycała alkohol na me-cze piłkarskie, nie wspomnę już o terrorystach, którzy przy-godnie spotkane dziewczęta wywozili za miasto stawiając je przed natychmiastowym ultimatum; „albo cnotka, albo pie-chotka”.

c.d.n.

MAKOKO